Cena 5 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II | Kraków, dnia 12 sierpnia 1945 r. | Nr 37

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

O pozytywny program kulturalny

I. DOWCIP CHWISTKA

Pamiętam świetnie zaimprowizowaną uwagę Chwistka: to nie wystarczy, mówił, kiedy ktoś twierdzi, że mu się nie podoba Rembrandt. To bardzo wieloznaczna wypowiedź. Aby ją zrozumieć, trzeba od razu spytać jeszcze, co mu się podoba. Jeśli odpowie, że Dürer — będzie trzeba ale też i będzie można długo jeszcze rozprawiać o odrębnościach starych mistrzów. Jeśli jednak odpowie, że podoba mu się tylko Wojciech Kossak, to jesteśmy w domu, od razu wiemy, dlaczego facetowi nie przypadł do smaku Rembrandt.

Nasza programowa publicystyka kulturalna, jaka ukazała się na łamach bodaj wszystkich wychodzących dotychczas czasopism literackich, miała taki właśnie zdecydowanie negatywny charakter.

Formułowano negatywny program kulturalny: co nam nie powinno się podobać. To było słuszne, należało oczyścić atmosferę umysłową z faszystowskich naleciałości, należało wskazać wyraźnie, jakie niebezpieczeństwo kryje się pod taką czy inną maską. Wobec małego zróżnicowania naszego życia umysłowego w latach międzywojennych, a co za tym idzie, wobec dużej dobroduszności intelektualnej naszej inteligencji godzącej się często nawet z oczywiście faszystowską treścią byle usankcjonowaną przez jakiś polski autorytet społeczny — taka negatywna akcja była konieczna. Toteż artykuły „Odrodzenia", „Kuźnicy", „Życia Literackiego", wykazujące, iż przyszły ruch umysłowy Polski nie ma po co sięgać do Gide'a i pisarzy jego typu, do Conrada, do Norwida — były potrzebne. Był zwłaszcza potrzebny zebrany tam zasób uzasadnień, które dla domyślnego czytelnika zawierały implicite też wskazówki pozytywnej postawy kulturalnej. Takich artykułów musi ukazać się jeszcze wiele.

Inna sprawa, że ci, choćby przykładowo wymienieni patronowie poprzedniego pokolenia — nie mogliby budzić tak żywego zainteresowania wśród nas jak budzili wśród naszych poprzedników. Norwid czy Conrad, ich interpretatorzy: Przesmycki, Kołaczkowski lub Ujejski — należą nie tylko fizycznie, ale właśnie duchowo do minionej bezpowrotnie epoki. Publiczność rozstrzygnęła bodaj jeszcze kategoryczniej tę sprawę: po prostu i tak nie czyta pisarzy, przed którymi ją ostrzegamy.

Wiem jednak, stykając się z młodymi pisarzami, z przyszłymi uczonymi, dziś początkującymi w seminariach socjologicznych i filologicznych, a przede wszystkim z inteligentną młodzieżą, z przodownikami stowarzyszeń młodzieżowych — jak bardzo są zbłąkani, jak bardzo potrzebują wskazówek. Jak bardzo potrzebne im są książki, które by niejako formułowały, odkrywały ich własne niedopowiedziane wewnętrzne myśli. Rozżarzyły do właściwej społecznie temperatury ich własne przekonania, odkryły w nich ich własne — im samym jeszcze nie dość znane hierarchie wartości.

To właśnie nazwałem w tytule pozytywnym programem kulturalnym: wskazać to wszystko w zakresie krytyki literackiej, filozofii i właściwej literatury pięknej, co powinno być przez ogół kulturalny polski naszego pokolenia czytane, dyskutowane, studiowane naukowo, aby mógł powstać ruch umysłowy o pożądanym kierunku i klimacie, ruch właściwy budującej się demokracji ludowej.

Kto to będzie pisał? Jeden Kott nie wystarczy. Ludzi z szeroką erudycją filozoficzno-literacką — prawie nie mamy. To prawda. Lepiej jednak jeśli te wskazania będą rzeczywistymi odkryciami ludzi młodych. Artykuły o wybranych patronach naszego pokolenia można zamawiać u studentów, nauczycieli, dyletantów — właśnie to co napiszą po prostu i bez finezji informując systematycznie i od początku tak jak się sami „tylko co" nauczyli — będzie stosowną formą dla tych kulturalnie młodych mas czytelniczych, o których pisali i Malewska i Sieradzki.

Chciałbym tym artykułem rozpocząć dyskusję nad poszczególnymi pozycjami. Pragnę naszkicować rodzaj katalogu idei i ludzi, którzy mogą, którzy powinni patronować życiu umysłowemu demokracji ludowej. A więc po kolei — sprawa krytyki literackiej, sprawa filozofii, sprawa literatury pięknej.

II. O STYL I MYŚL JAK U MOCHNACKIEGO

Chcę tu poruszyć parę dość odrębnych kwestyj.

Przede wszystkim problem stylu nowej krytyki. Styl, sprawa wzoru stylistycznego. Choćby po to, aby wiedzieć, do czego się dąży. Brzozowski czy Mochnacki? Otóż na pewno Mochnacki.

Rozważono w różnych artykułach, dlaczego zdecydowanie odrzucamy kult żywiołu Brzozowskiego. Co przedstawia drugi wzorzec? Zarówno prekursorską, rewolucyjną śmiałość i trafność myśli, jak i dosadną ostrość stylu o oczywistej teoretycznej rzetelności, dowcipie, estetycznych walorach formuły zamkniętej, dosadnej, pełnej skupionego patosu i wewnętrznego żaru.

Wystarczy przypomnieć jeszcze raz — również przeze mnie wysuwaną parę razy, książkę o „Powstaniu 1830 r."

To tak bardzo swoiste powiązanie surowego wzgardliwego dowcipu, burzliwego radykalizmu myśli z teoretyczną rzetelnością i szerokością horyzontów wyodrębnia Mochnackiego spośród innych pisarzy jego epoki.

Nie trzeba wielkiej wrażliwości, by stwierdzić podobieństwo stylu i myśli takich dzieł jak „Powstanie" Mochnackiego, „Co czynić?" Lenina i „Wojna domowa" lub „Nędza filozofii" Marksa. Z dalszych wywodów jasno wyniknie, dlaczego trzeba nauczyć się cenić gorzki styl tych pisarzy, aby móc dostatecznie intensywnie przeżywać właściwe naszej epoce treści krytyczne, które są nieosiągalne w rozlewnym gadulstwie Brzozowskiego.

A teraz — sprawa z innej beczki. Trzeba sobie uświadomić, że nawet największy pisarz naszych lat międzywojennych, mimo niesłychanie pozytywnej, zbawiennej roli, jaką odegrał w naszej kulturze, Boy-Żeleński — jest także pisarzem zeszłego pokolenia. Nie wystarczy powtarzanie jego artykułów, chociaż są ozdobą każdego pisma. Nie to chcemy widzieć w Balzaku, co ma o nim do powiedzenia Boy. Musimy inaczej niż on spojrzeć na klasyków mieszczańskich, zwłaszcza epoki heroicznej mieszczaństwa, epoki buntu, twórczości, rewolucji. W bezpośrednim, urzekającym entuzjazmie Boya, gdy pisze np. o Molierze jest solidaryzowanie się z Molierem przy każdym jego odkryciu demaskującym nadużycia i zakłamanie feudalizmu. Dla Boya osiągnięcia mieszczańskiej krytyki — są wieczną miarą krytycznej prawdy o ludziach i świecie. Dla nas kończących dziś ostatecznie proces mieszczańskiej rewolucji, która zlikwidowała przeżytki feudalizmu — to nie wystarczy. Bo w naszym pokoleniu nie mieszczaństwo jest motorem tego rewolucyjnego procesu. Znacznie szersze i dalej sięgające siły społeczne przodują dziś tym przemianom. Trzeba nam więc przemyśleć Boya i jego problematykę na nowo tak, by historyczna, a to z konieczności znaczy klasowa perspektywa tej klasycznej mieszczańskiej kultury stała się jaśniejsza.

Tego trzeba się nauczyć. Sądzę, że będzie rzeczą rozsądną sięgnąć w tym celu po niewątpliwie odświeżające myśl wzory radzieckiej krytyki literackiej. Nie trzeba szukać też rzeczy wielkich. Wśród dorobku blisko trzydziestu lat radzieckiej krytyki są pozycje imponujące, ale nie o ten typ wzorców chodzi. Gdyby szukać indywidualności krytycznej, z którą obcowanie dawało by to specyficzne poczucie stykania się z genialnością, rozsądniej było by sięgnąć bo Thibaudeta — a nie po Fricego.

Lecz wielokrotne własne i cudze doświadczenie nauczyło mnie jak olśniewająco nowe perspektywy podsuwa wszelka marksistowska krytyka, nawet reprezentowana przez pierwszego lepszego kulturalnego essayistę.

Bo to nie o bystrość jednostki chodzi, ale właśnie o rezultaty nowej metody, nam nieznanej. O nowe pojęcia, kategorie teoretyczno- i historyczno-literackiego myślenia. Weźmy spopularyzowane (bo parę razy cytowane tu i ówdzie) prace Lukacsa. Jest to pisarz ogromnej kultury. Ale znane w Polsce jego prace — to tylko poprawna popularyzacja.

Jakże inaczej da się interpretować takie np. „Cierpienia młodego Wertera" nawet gdy idzie o znalezienie sensu kompozycji tej książki jako środka (i to potężnego) wyrażającego zawartość ideową utworu — jeśli przyjmiemy za marksistowską klasyfikacją historyczno-literacką, że Goethe to nie pierwszy romantyk, ale konsekwentny przedstawiciel rozwijającego się oświecenia. Jeśli wyczytamy w odkrywanych formach tej arcypowieści nie ślady dyrektyw nowej romantycznej estetyki, lecz wyraźne rysy kształtujących je wielkich idei rewolucyjnego oświecenia. Dla przekonania się przeczytajcie sobie pierwszy lepszy fragment na ten temat z polskiego przedwojennego podręcznika (np. Kridla — to był bystry pisarz) i fragment popularnej książeczki Lukacsa, który nie robi odkryć, ale po prostu posługuje się ogólnie znanymi pojęciami marksistowskiej wiedzy historyczno-literackiej. Powtarzam, nie chodzi o genialne błyski literackiego krytycyzmu. Po prostu z pierwszych lepszych byle kulturalnych książek (a takich w literaturze radzieckiej setki) trzeba odświeżyć aparat pojęć literackich.

Ale to nie wystarczy do orientowania się w świecie literatury. Aby posługiwać się właściwą hierarchią wartości w tym zakresie, aby właściwie oceniać twórczość, trzeba mieć o niej rzetelną wiedzę. Taka jest zawsze właściwa zależność między wartościowaniem a poznaniem. Nasza dowrześniowa wiedza o literaturze była daleka od rzetelności, od empiryczności, od metodologicznej i pojęciowej poprawności.

Walka o zmianę tego stanu rzeczy była prowadzona w skali światowej w ramach ogólnego przeobrażania się humanistyki. Na razie w dziedzinie literaturoznawstwa, jak twierdził nieodżałowany znawca i erudyta w tym zakresie Leon Piwiński, najbardziej konkretne wyniki osiągnęli badacze radzieccy. Sądzę, że po 1930, a zwłaszcza między 1935 a 1939 r. można było już wiele interesującego, a nawet rzeczy bardziej interesujące niż w Związku Radzieckim znaleźć w Czechach i Austrii, skąd te zdobycze przenikały zarówno do Francji jak i do krajów skandynawskich (por. np. księga pamiątkowa ku czci Mikołaja Troubetzkoya).

W Związku Radzieckim ta wiedza o literaturze przy całej pomysłowości, konkretności i budzącej zaufanie rzetelności była dość jednostronna. Mam na myśli przede wszystkim produkcję tzw. formalistów (u nas popularyzowaną przez K. W. Zawodzińskiego i przed samą wojną przez zamordowanego w ghetcie Dawida Hopensztanda). Działalność najwybitniejszych formalistów (Skłowskij, Tynianow, Żirmunskij, Eichenbaum) przypada na dość zamierzchły okres lat 1925—6. W Związku Radzieckim pozostali przecież ich uczniowie np. Tiryn. Gdyby Tuwim doczekał się u nas takiej książki — jak studium Tiryna o wierszu Majakowskiego („W mastierskoj sticha"), łatwiej było by nam mówić o nowej literaturze w ogóle. Toteż nie wyobrażam sobie rzetelnej wiedzy o literaturze w Polsce bez przetrawienia dorobku starych formalistów i bez stałego śledzenia pracy ich uczniów, chociaż ci dają tylko dość schematyczne, jednostronne, techniczno-literackie analizy. Toteż właściwy zapał poszukiwań musi iść gdzie indziej. Dzięki najgenialniejszemu z formalistów Jakobsonowi (tenże Romek Jakobson z wierszy Majakowskiego do tow. Nette) i drugiemu Rosjaninowi Winogradowowi — istotna wiedza o literaturze stawała się gałęzią językoznawstwa, a dopiero poprzez nie socjologii itd. w ramach normalnej hierarchii dyscyplin humanistycznych. Stawało się rzeczą jasną, że analizie socjologicznej poddawać można tylko to co da się poprzez lingwistyczne badania stwierdzić w dokumentach literackich, a nie to co ślina na język przyniesie mniej czy więcej naiwnie „czytającemu sobie". Stąd ważność lingwistycznie pojmowanego literaturoznawstwa — jego rzetelność, sprawdzalność jego wyników, metodologiczne opracowanie, możliwość budowania teoretycznych, logicznie poprawnych konstrukcyj. U nas szermierzem tej wiedzy był przedwcześnie zgasły Franek Siedlecki (artykuły w „Skamandrze", „Studia z metryki polskiej" t. 1—2 oraz Księga ku czci K. Wóycickiego). Winogradow (tłumaczony na język polski) rozwinął ten typ badań w Związku Radzieckim.

Donioślejszy zakres miała zagraniczna działalność R. Jakobsona w Czechach. Tam powstało koło językoznawcze w Pradze publikujące swe prace od 1929 r. Stworzyli oni nową metodę badań i teorię języka tzw. fonologiczną. Potrafili przede wszystkim jednak zbudować na gruncie swych teoryj niesłychanie płodne metodologicznie pojęcia teoretyczno-literackie. Główną zaletą tej szkoły była logiczna poprawność ich teorii mogąca sprostać najbardziej rygorystycznym wymaganiom nowoczesnej metodologii wypracowanej w logistycznych środowiskach Wiednia i Warszawy. To obok Jakobsona prace wymienionego wiedeńskiego profesora Troubetzkoya, a potem falangi ich uczniów czeskich, francuskich, holenderskich i skandynawskich stanowią właśnie fundament nowej epoki w rozwoju wiedzy o literaturze — tak rzetelnej, empirycznej, sprawdzalnej, że my wszędzie szukający ścisłej znajomości faktów możemy i musimy w dziedzinie literackiej do nich nawiązywać.

Zwłaszcza, że drogi wskazane przez nich prowadzą do dwu wielkich klasyków: De Saussure'a i polskiego Baudouin de Courteney'a i jeszcze krok dalej do rosyjskiego Marra, który umiał te rzetelne fakty lingwistyczne poddawać równie poprawnej obróbce socjologicznej. Na fundamencie dorobku tych pisarzy można wyrobić sobie właściwe zdanie o tym co to jest język, jak się rozwijał i pod wpływem jakich czynników (Marr), jakie tworzy struktury (De Saussure, fonolodzy) i jak należy rozumieć wyżej zorganizowane, artystyczne fakty językowe. Tylko na gruncie takiej rzetelnej wiedzy o literaturze może zjawić się istotnie postępowa, oczekiwana ocena współczesnej i minionej rzeczywistości literackiej. Ale też tylko tak na wylot i naprawdę znając literaturę, można pisać z hardą pewnością Mochnackiego.

III. CARNAP I MARKS

Niewątpliwie najważniejszą sprawą dla treści i intensywności wszelkiego ruchu umysłowego, a więc i rozwoju czystej literatury i kształtowania się jej krytyki jest sprawa ogólnego ładunku myśli i poglądów — sprawa filozofii w popularnym sensie tego słowa. Szczególnie akcentuje ten tradycyjny sposób rozumienia wyrazu filozofia, którym tu się posługuję. Ten sposób, który pozwala postawić obok siebie pisarzy takich jak Platon, Spinoza, Peirce, Carnap, Bergson, Kotarbiński. Nie idzie więc o lekturę dla specjalisty, który śledzi czy dana praca (i o ile) posuwa uprawianą przezeń dyscyplinę naprzód, który wyzyskuje konkretne odkrycia pracującego na tym samym polu, aby samemu posunąć naprzód naukę. Troszczymy się natomiast o dobór książek i pisarzy, którzy by dostarczyli zasobu myśli na ogólne tematy czy też szczególnie aktualne dziś spośród tych ogólnych tematów, które w jednakowej mierze muszą interesować wszystkich — czy to czynnie jako twórcy, czy to biernie jako konsumenci — uczestniczących w życiu kulturalnym. Wyjaśnią to bliżej przykłady. A więc będzie tu szło o ogólną wiedzę o kulturze, o charakterze, kierunkowości, prawidłowościach procesów kulturalnych. O ogólne dyrektywy metodologiczne określające granice i sposób stawiania wszelkich problemów dotyczących człowieka, procesów społecznych, kulturalnego stawania się. Szło by więc o taką ogólną teorię kultury — jak ogólna teoria materii, jaką rozporządzają przyrodnicy i czytają o niej laicy, aby mogli rozumieć i bardziej szczegółowe rozważania. Analogia ta, jak zwykle analogie, gotowa doprowadzić do błędu. Oczywiście nie ma tak gotowej i wypracowanej teorii kultury jak mamy teorię materii. Ale też — porozumieliśmy się chyba — chodzi nam o książki na tematy dające się poniekąd zaliczyć do ogólnej teorii kultury lub przynajmniej teorii formalnych wyznaczników kultury.

Otóż mówiąc najprościej: kapitalną sprawą życia umysłowego naszej doby jest empiryczność tej wiedzy o kulturze, po drugie — jednak jej autonomiczność. To znaczy: mamy dość naglistej, mętnej wiedzy o duchu i jego formach i przeciwstawiamy się likwidatorskim tendencjom przeczącym istnieniu odrębnej wiedzy o kulturze, wiedzy dążącej do wykrywania swoistych praw społecznych.

Obmierzła nam stęchła atmosfera rozwielmożnionego w świecie myśli od 40 lat intuicjonizmu i irracjonalizmu, wszelkiego typu emocjalnego, jakościowego myślenia.

Ale w imię tegoż empiryzmu i poprawnego badania i wyjaśnienia nie możemy zaprzeczyć

niesprowadzalności faktów i procesów kulturowych do fizycznych.

Zagadnienia empiryzmu, zagadnienia formalnych rygorów poprawnego myślenia, zagadnienia metodologicznej struktury sensownej teorii — a dalej sprawy ontologicznego charakteru faktów kultury, swoistości praw społecznych, treści i zakresu właściwego pojęcia człowieka — twórcy kultury — to przykłady zagadnień, bez których rozwiązania nie da się w ogóle przemyśleć aktualnych, bieżących problematów życia współczesnego. Dziś wraz z hitleryzmem zbankrutowały wszelkie wyłgujące się rzetelnemu myśleniu sposoby ujmowania rzeczywistości. Zbankrutowało uzasadnianie swoich twierdzeń trafnym „wyczuwaniem" sensu zjawisk. Tyle rzekomo naukowych teoryj okazało się plugawą bzdurą i maską ohydnego barbarzyństwa, tyle zbrodni popełniono w imię rzekomo naukowych zasąd, że najbardziej palącą sprawą jest dzisiaj kryterium wartości sądu dotyczącego człowieka i kultury. Żydów przecież mordowano w oparciu o teorie o ich szkodliwej roli dziejowej. Kiedyż więc można ufać sądowi historycznemu? W jakich warunkach może on być poprawny? W jakich warunkach pozwala się uprawdopodobniać? Powtarzam, to są sprawy palące. A kryją w sobie dwie teoretyczne kwestie: sprawdzianów empiryczności sądu i konstytucji rzeczywistości kulturalnej.

Otóż w ten świat problemów wprowadza nas środowisko pisarskie, którego niektórzy przedstawiciele pisywali przed 1918 r., niektórzy zaś od 1926 r., ale które osiągnęło wpływ światowy i wydało decydujące prace między 1934 a 1939 r. Mam na myśli ten szeroki krąg pisarzy austriackich, niemieckich, polskich, czeskich, francuskich, angielskich, skandynawskich, amerykańskich, węgierskich, których ruch wyszedł z dawnego „Koła Wiedeńskiego" — „Kreis um Schlick" — grupy filozofów, spadkobierców pozytywizmu.

Trudno doprawdy o większą ścisłość, prostotę, dzielność myśli niż u tych pisarzy. Niektórzy zaś mają i pierwszorzędny talent literacki i agitacyjny (Neurath, Rougier). Są tam badacze o horyzontach genialnych jak Carnap i Tarski. Są przyrodnicy jak Reichenbach i humaniści jak Neurath i Julius Kraft. Psychologowie jak Hempel i Oppenheim i teoretycy biologii jak Woodger (uczył się też w Warszawie u Tarskiego). Są wśród nich autorzy, którzy zaspokajają nie tylko potrzeby wiedzy, ale dostarczają wprost rozkoszy estetycznej dzięki sprawności swych teoretycznych konstrukcyj — jak Popper. Wyróżnia ten krąg pisarzy i predystynuje na patronów współczesności nie tylko tak aktualna tematyka, ale też z punktu widzenia wszystkich naszych społecznych sprawdzianów szczególna zasadność i jednocześnie oryginalność myśli.

Gdy Roman Jakobson zetknął się z nimi przez Nessa (bodajże w Norwegii), spróbował zaksjomatyzować mordwiński system wierszowy. Wyobrażam sobie, jakby się uśmiał Majakowski z odkrywania tajemnic tworzenia wierszy przy pomocy wytrycha logistyki. Nie o takie też wyzyskanie logistyki idzie. Te problemy teoretyczno-naukowe i logiczne mają w ujęciu cytowanych pisarzy ogólno-filozoficzną doniosłość i bezpośrednio dotyczą każdego humanisty. Wskazują mu bowiem jakim rygorom sprostać musi wszelka teoria, a więc i humanistyczna, aby w ogóle była sensowna, aby nie była pustym bełkotem, łańcuchem słów bez sensu. A tak wyglądała w wielu, zbyt wielu wypadkach dotychczasowa wiedza o kulturze. I z takiej pseudowiedzy musiał korzystać każdy pisarz-artysta, chyba że poprzestawał na salonowym owczarstwie intuicji. Nic więc dziwnego, że cytowani pisarze w swych książkach i czasopismach („Erkenntnis", „Philosophy of Science") odmawiali humanistyce prawa do istnienia i swobodnego rozwoju. Aby wyjść z oczywistego impasu (to bije w oczy w Neurathowskiej „Empirische Soziologie", gdzie ten jest „marksistą" od siedmiu boleści) — trzeba sięgnąć i do innych źródeł myśli. I tu właśnie dla czytelników tej tak bardzo nowoczesnej myśli Carnapa szczególny otwiera się zasób uroków w dorobku klasyków marksizmu. Właśnie czytelnik dobrze wykształcony na bojownikach nowoczesnego empiryzmu może dopiero w pełni pojąć wartość i sens klasycznych teoryj marksistowskich. Może wykryć jak z punktu widzenia nowoczesnych wymagań ich struktura formalna jest poprawna, jak przeto ich wyniki są olśniewająco pewne, prekursorskie, odkrywcze. Weźcie maleńką książeczkę Marksa „Nędza filozofii" i zróbcie ćwiczenie seminaryjne. Zrekonstruujcie koncepcję człowieka-twórcy kultury, którą się tam Marks posługuje, a zobaczycie jak bardzo wyprzedza on najdojrzalsze osiągnięcia najnowszej humanistyki i to w bardzo wyspecjalizowanych dziedzinach, które w toku prac doświadczalnych (lingwistyka) nauczyły się przestrzegać wymagań empirycznego postępowania naukowego.

A jeśli idzie o klasyków marksizmu, to jest co czytać. Długi łańcuch nazwisk od Marksa i Engelsa do Lenina i Stalina. Łańcuch nazwisk, który reprezentuje bogactwo żywej, poszukującej myśli. Trzeba te książki czytać krytycznie, aby samemu pojąć, ile jest genialności w „Zeszytach filozoficznych" Lenina, ile rozkoszy w rekonstruowaniu tych okruchów. (Rozkoszy, którą poprzednie pokolenie miało czytując za Brzozowskim — Vica). Ale jednocześnie, aby zorientować się ile pragmatystycznych nieporozumień jest u takiego rosyjskiego Deborina, czy włoskiego Mondolfa, nie mówiąc już o próbach „heideggeryzowania" Marksa, które ostatnio mieliśmy w niemieckiej literaturze (na tle epistemologicznej polemiki Lukacsa z Leninem).

Wartość społeczna obu grup pisarzy jest niepomierna. I formalna obrona empiryzmu Carnapa i merytoryczna obrona tegoż empiryzmu na gruncie procesów kulturowych Marksa stanowią fundament postawy społecznej nowoczesnego jakobinizmu. To co w jakobinizmie XVIII w. było twórcze — to właśnie owo kruszenie starzyzny, to postawa, wobec której nie było nic świętego na wiarę i przyzwyczajenie. Jakobinom XVIII w. dawała siłę nieco przesadna wiara w rozum absolutny, ale nowoczesny empiryzm jest rzeczywiście takim fundamentem, podstawą burzenia starzyzny, planowania przyszłości. Daje tę ironiczną pewność myśleniu realistycznemu, pozwala brutalnie przełamywać nawyki myślenia idealistycznego, demaskować jego pustkę. W atmosferze polskiej, gdzie tyle jest rozpylonej święconej wody — ta postawa nowoczesnego jakobinizmu jest konieczna.

A kto był jej historycznym wzorem? Jak się nauczyć jej gestów? Najlepiej u Jana Henryka Dąbrowskiego. Pisał o tym parę słów Berent. Więcej w życiu wielkiego generała-jakobina.

IV. REWOLUCYJNA TRADYCJA W LITERATURZE

Przede wszystkim jedno nieporozumienie. Myśląc o sztuce — gdy szczegółowy problem nie wymaga definicyj zasadniczych — przeciętnie myślimy o zespole chwytów artystycznych. Źródło tego jest jasne. W każdej epoce o sztuce myślano po prostu petryfikując, podnosząc do godności obiektywnego faktu ponadhistorycznego zwykłą normę poetyki danego czasu. Poetyka ostatnich lat czterdziestu, wywodząca się z symbolizmu, a potem co ważniejsze z futuryzmu, operuje takim pojęciem dzieła sztuki literackiej, które pozwala na przesadne traktowanie roli słowa, roli elementów formalnych, słowem w utworze literackim widzi zespół mniej lub więcej obnażonych chwytów. (O ścisłej łączności poetyki normalnej futuryzmu — jakże normalnej konsekwencji symbolizmu — z rzekomo naukową poetyką formalistów w teorii literatury pisał wyczerpująco Dawid Hopensztand.)

Ten zbyt rozpowszechniony sposób pojmowania literackiego dzieła sztuki sam przez się już kieruje poszukiwania literackich patronów współczesności, pisarzy wartych czytania — na fałszywe drogi.

Dyskusja, która rozgorzała na początek w naszym środowisku, była typowo formalistyczna: mówiło się o realizmie, o stylu, o środkach ekspresji itp. Szukano patronów stylu realistycznego. Kott robił słuszne i dowcipne rozróżnienia, aby wykazać realistyczność środków ekspresji powiastki filozoficznej. Otóż tak dyskutować można o stylu — nie o patronach literackich. Wzorzec artystyczny — to w historii nigdy nie był wzorzec formalny, nawet w epokach, kiedy w poetyce również dominował skrajnie formalistyczny punkt widzenia. Program literacki humanistów polegał na tym, aby formy, właśnie różnorodne formy ekspresji artystycznej właściwe literaturze starożytnej przyswoić danemu językowi ojczystemu. Tym nie mniej humaniści czytali swego Cycerona nie tylko jako twórcę imponujących okresów retorycznych, ale przede wszystkim — jak słusznie zauważył kiedyś Kotarbiński — jako źródło wiedzy o życiu, mądrości życiowej, z pobudek pozaformalnych.

Takież było postępowanie Stanisława Brzozowskiego. A ten w naszej kulturze posiada niezaprzeczoną zasługę pierwszego tak świadomego i tak oczytanego poszukiwacza patronów literackich swego pokolenia, poszukiwacza zasobów aktualnej myśli literackiej, zachowanej w klasycznych dziełach jakby w oczekiwaniu tego pokolenia, któremu Brzozowski przewodził. I to widać nie tylko wtedy, gdy pisze o myślicielach — gdy pisze o swoim Newmanie, ale również w jego odkrywaniu angielskiej powieści połowy XIX w. Wystarczy przy mnieć rozdział „Humor i prawo" z „Legendy Młodej Polski", aby mieć jasny pogląd, że i Brzozowski dobierał pokoleniu swemu artystycznych patronów wedle kryterium ich życiowej przydatności. Angielscy powieściopisarze mieli dać te wartości duchowe (humor i prawo), których rzekomo brakło w życiu polskiej zbiorowości.

A więc na początek nie martwmy się o realizm, nie szukajmy formalnych wzorów realizmu. Daleki od realizmu satyryczny dramat Szekspira może być tu właśnie odpowiednim rozwiązaniem ze względu na treści, które przynosi.

W jakiej epoce szukać tych patronów? Jedną z ogólnych wskazówek są koncepcje Jerzego Plechanowa na temat rozwoju sztuki. Plechanow, jak zawsze subtelny myśliciel, sądził, że nowe klasy społeczne, dokonywające swego przewrotu, tworząc swą sztukę, po tradycje artystyczne sięgają do epoki bohaterskiej rewolucyjnej klasy, której panowanie obalają. Stąd możliwa łączność między kulturą proletariacką a kulturą bohaterskiej epoki mieszczaństwa w końcu XVIII w. Historycznie rzecz biorąc da się zauważyć istotne zależności między literaturą realizmu socjalistycznego a właściwościami np. powieści mieszczańskiej z okresu przedbalzakowskiego. To samo np. traktowanie bohatera, ten sam stosunek do elementów epickich, do narracji, słowem do wydarzeń. Ależ przeżywany przez nas okres nie jest klasową rewolucją proletariacką. Formowanie się demokracji ludowych opiera się na bardziej złożonych pod względem struktury klasowej fundamentach społecznych.

Trudno tu mówić w zakresie nadbudowy o czymś tak jakościowo nowym, jak kultura budującego się socjalizmu. Do tego brak fundamentów materialnych. Toteż kultura demokracyj ludowych w dzisiejszej Europie musi być z natury rzeczy bardziej bliska przeszłym tradycjom i to różnorodnym — tak jak różnorodne struktury gospodarcze stare i zapowiadające nowe formy i różnorodne siły społeczne czynnie uczestniczą w tej skomplikowanej, jedynej w historii i jeszcze teoretycznie niezbadanej formacji. Jak opowiadał Jerzy Borejsza — nawet tak czujny badacz gospodarczej i dziejowej współczesności jak znakomity Warga miał oświadczyć w rozmowie, że musimy dopiero czekać na teoretyczną analizę tego periodu w historii i gospodarce, który przeżywamy, gdyż żadna z dotychczasowych historycznych interpretacyj do tego szczególnie nowego okresu nie da się zastosować. Niepodobna więc poszukiwać jakiegoś jednego okresu w dziejach literatury bliskiego czy to ze względu na treść czy formy stylistyczne. Sądzę, że można jedynie mówić o bliskości wszelkiej postępowej, rewolucyjnej tradycji różnych epok. To jest właśnie tertium comparationis — postawa postępowa, rewolucyjna — a w swoich gestach i treściach bardzo różnoimienna, bo wywodząca się z różnorodnych tradycyj i form postępowego zachowania się różnych grup społecznych, o różnej przeszłości, różnej funkcji historycznej dzisiaj. Współistnienie w naszej rzeczywistości chłopskich i robotniczych dążeń emancypacyjnych — każe szukać w przeszłości dwu różnych nurtów tej tradycji emancypacyjnej. A jeśli to się jeszcze komplikuje udziałem naszej szlachecko-mieszczańskiej inteligencji, nic więc dziwnego, że inaczej musimy patrzeć na takiego np. Henryka Kamińskiego, aniżeli patrzał nań klasowy ruch proletariacki przed kilkunastu laty, który akcentował obcość tego rzetelnego postępowca proletariackim tradycjom.

Niewątpliwie najbliższe będzie nam środowisko rewolucyjnego demokratyzmu, którego spadkobiercą, genetycznie rzecz biorąc, był rewolucyjny ruch proletariacki pierwszej ćwierci XX wieku. Tę bliskość idei genetycznej wyjaśni podobne do naszych czasów skomplikowanie i zróżnicowanie sił społecznych, które wydały ideologię rewolucyjnego demokratyzmu w połowie XIX w. To środowisko rewolucyjnego demokratyzmu na pewno reprezentować będzie i Adam Mickiewicz i Herzen. A gdzie jest polska książka o Mickiewiczu, której by można było się nie wstydzić? A gdzie są polskie przekłady Herzena? Gdzie informacyjna książka o nim? Artykuł Millera o Herzenie był fałszywy, jak słusznie zwróciła mi uwagę w rozmowie C. Bobińska, bo wiązał pisarza z ruchem liberalnym, czynił prekursorem „kadetów", a nie wiązał z ruchem demokracji rewolucyjnej, którego spadkobiercą był rewolucyjny ruch proletariacki. Trzeba spoufalić się z tym okresem dziejowym!

Poza Mickiewiczem czy Herzenem ruch demokracji rewolucyjnej połowy XIX w. ma bardzo licznych przedstawicieli w literaturach wszystkich krajów Europy. Do nich prowadzą drogi naszego czasu. W nich bowiem jest ten niezwykły patriotyzm, który wzrusza a nie niecierpliwi, patriotyzm reformatorski jak u Nałkowskiego czy Czernyszewskiego.

Prace o tej epoce muszą się ukazać. Gdy powiedzieliśmy co się nam nie podoba, musimy wyjaśnić co i dlaczego podoba się naszemu pokoleniu.

Przede wszystkim narzucają tu się poprzednicy socjalizmu naukowego — właśnie jako pisarze, jako artyści a nie myśliciele. Fourier z jego geniuszem satyrycznym i olśniewającą pasją karykatury. Namiętny patos, retoryka Lammenais'go. Dalej cała postępowa literatura rosyjska z doby Herzena (Niekrasow). Nasi pisarze drugiego pokolenia wielkiej emigracji. Słusznie skarżył mi się kiedyś dr Kula, że umiano wydawać każdy fragment Towiańskiego — nawet dla młodzieży szkolnej — a młodzieńcze mowy Mierosławskiego, którymi żyło całe pokolenie polskie, są zupełnie niędostępne. Ba, nic się o nich nie wie.

Nadto pisarze „Młodych Niemiec", zwłaszcza Heine, spopularyzowany przez cukierkową galanterię erotyków Asnyka, kryje w sobie może najwięcej podniet dla naszych poetów. O „Niemcach — Baśni Zimowej" mamy w naszej literaturze uczone studium, ale nie mamy nowoczesnego przekładu. I tak ze wszystkim, z całą puścizną Heinego, rewolucyjnego publicysty w poezji przed Majakowskim.

Osobny rozdział to Balzac. Znamy go. Zawdzięczamy go Boyowi. Ależ Balzac Boya — obrońca kobiet trzydziestoletnich — to nie nasz Balzac. Dla Boya to co pociągało ku Balzakowi Marksa — było ostatecznie sprawą drugorzędną, sensacją. Tymczasem o to chodzi w naszym Balzaku: o zdzieranie złudzeń, o posługiwanie się tą samą koncepcją człowieka, którą i Marks operował — a stąd o analogiczność funkcji intelektualnej takich książek jak „Stracone złudzenie" i „Przyczynek do krytyki ekonomii politycznej".

W naszym kraju nigdy tak świadomie i swobodnie jak dziś w kształtowaniu rzeczywistości nie brała udziału klasa robotnicza. Najwyższy więc czas, aby z tą samą świadomością wprowadzić do naszego życia umysłowego samodzielne tradycje kulturalne międzynarodowego proletariatu. Przede wszystkim świetnie rozkwitającą poezję robotniczą doby I Międzynarodówki z Pottierem na czele. Dalej jeszcze bardziej interesujący dorobek proletariatu amerykańskiego — poetów I.W.W. Tak wyselekcjonuje się pisarzy, którzy (inaczej niż zbyt często w Polsce) nie patrzyli na świat przez łzy rozrzewnienia i dlatego widzieli wszystko jasno i dokładnie. Umiejąc widzieć błędy i braki swych czasów, umieli żądać i pragnąć postępu.

Toteż mogą spełnić tę samą rolę inicjatorów ścisłej, trzeźwej, empirycznej wiedzy o świecie, rzetelnej mądrości życiowej, co i wymienionej w pierwszym rozdziałku krytycy, a w drugim filozofowie.

Wymieniam tu świadomie tylko pozycje mniej znane. Wskazując ogólny kierunek ku tradycjom rewolucyjnym literatury, czuję się zwolniony z obowiązku dawania dokładnego katalogu nazwisk. A ten mógłby sięgać daleko wstecz (Erazm, Molière, młody Schiller, Goethe, Shelley). Ci starsi pisarze znani nam są jako ktoś zupełnie inny — nie jako rewolucjoniści jakimi byli. Tendencyjnie nas informowano. A teraz trzeba nauczyć cenić i pisarzy-klasyków za rewolucyjność, za walkę z przesądami, za sumienie społeczne.

Naszkicowałem tylko katalog idei i nazwisk, przynajmniej niektórych. Każdej sprawie, każdej postaci omal trzeba poświęcić osobne studium, jeśli te sugestie, które tu tylko niedokładnie nazwane zostały, mają przeniknąć do świadomości społecznej. Wierzę, iż uda się skupić ludzi, którzy z zainteresowaniem podejmą te sprawy. Gdybyśmy chcieli zgodnie z polską tradycją pisać programowy artykuł „My i wy", trzeba by właśnie na to położyć nacisk: że chcemy walczyć o uściślenie wszelkich form wiedzy o człowieku zarówno artystycznej, jak i wiedzy sensu stricto humanistycznej; że chcemy walczyć o jej sprawdzalność, ostrość, empiryczność w analogicznym sensie jak w naukach ścisłych, że chcemy walczyć przeciw przesądom, przeciw wszelkiemu nadużyciu myśli, jesteśmy przekonani bowiem, że przodujące siły społeczne nie mogą zwyciężyć bez przodującej teorii, a jednocześnie zdajemy sobie sprawę, że współczesny okres rozwoju myśli europejskiej cechuje właśnie szczególny kryzys zmierzający do niebywałego dotąd zaostrzenia wszelkiego typu rygorów stanowiących warunki empiryczności myślenia.

Walczymy o wypracowanie tych rygorów, o przyswojenie sobie zdobyczy naszych poprzedników w tym zakresie, o przeniesienie tego zasobu na polskim gruncie niezwykle nowych idei do głębi świadomości zbiorowej.

W praktyce trzeba w każdym mówiącym o sprawach kultury rozbudzić szlachetny niepokój — czy twierdzenia jego są dostatecznie zasadne, czy odpowiadają nowoczesnym, racjonalnym rygorom ścisłości i sprawdzalności, trzeba narzucić każdemu nawyk stałego doskonalenia się w tym właśnie zakresie. Nauczyć nieufności do tradycyjnych, niedbałych form myśli, a że nie ma myślenia poza językiem — wzbudzić nieufność do tradycyjnych, niekrytycznych sposobów formułowania niepodporządkowanego rygorystycznym dyrektywom sensowności. Trzeba nauczyć zdobywania pełnej świadomości możliwie wszystkich założeń każdego swego twierdzenia, umiejętnej kontroli tych założeń, wyrzekania się twierdzeń, które kompromitują niedozwolone założenia, pełnej świadomości metodologicznej, trzeba zawsze wiedzieć, jakie kroki logiczne poczyniło się, aby osiągnąć pozornie narzucające się szczegółowe, rzekomo tylko „rozsądne" twierdzenie. Tak, by wreszcie w konsekwencji operować tylko twierdzeniami wolnymi od niedozwolonych założeń, tylko twierdzeniami empirycznymi, odpowiadającymi rzeczywistej znajomości faktów — trudnej umiejętności właściwego odróżniania pozorów od faktów. A do tego nie starczy ani szlachecka mistyka, ani mieszczański zdrowy rozsądek. Sąd empiryczny bowiem jest trudną konstrukcją teoretyczną i aby nie był przesądem, ale istotną zdobyczą, wymaga dzielności myśli, świadomości metodologicznej i krytycyzmu. I czujnego współdziałania z praktyką społeczną. To najważniejsze.

Stefan Żółkiewski.

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

SPRAWA WYOBRAŹNI

Związek Zawodowy Literatów Polskich

Cena 35 zł

Do nabycia we wszystkich księgarniach

TADEUSZ DOBROWOLSKI

Społeczna problematyka muzeów i muzea krakowskie

Dzisiejsza problematyka muzeów polskich łączy się ściśle ze sprawą demokracji. Sprowadza się zatem do konieczności włączenia muzeów w ogólną akcję upowszechniania kultury, prowadzoną przez państwo, a popieraną przez stronnictwa polityczne i związki zawodowe. Społeczną funkcję muzeów należy określić jasno i wszechstronnie; trzeba gruntownie przemyśleć zagadnienie współpracy muzeów ze społeczeństwem i opracować metody skutecznego oddziaływania muzeów na masy.

Postulat uspołecznienia muzeów. w dzisiejszej rzeczywistości szczególnie aktualny, nie jest jednak czymś nowym. Ideę przekazania zbiorów muzealnych narodowi zrodziła rewolucja francuska, co znalazło patetyczny wyraz w uchwale Zgromadzenia Narodowego w r. 1791, że zbiory publiczne „mają stać otworem dla całej ludzkości, dla całego świata". Wobec tej niewątpliwie programowej zapowiedzi wolno ocenić osiągnięcia muzealnictwa na przestrzeni lat 150, tj. do chwili obecnej jako dość nikłe. Wprawdzie za przykładem Konwentu państwa demokratyczne oraz odpowiadające im ustrojowo jednostki komunalne tworzą muzea publiczne, wprawdzie w ten sposób najwybitniejsze dzieła sztuki, znajdujące się uprzednio w posiadaniu prywatnym, demokracje uprzystępniają ogółowi, ale zbiory publiczne są uczęszczane zbyt słabo, stosunek społeczeństwa do zbiorów bywa raczej obojętny, wobec czego muzea w praktyce mijają się z celem. Złożyły się na to różne powody.

Ewolucja muzealnictwa w ciągu XIX w. odbywała się zgodnie z fluktuacją ówczesnych prądów kulturalnych, z przemianami w zakresie poglądu na świat, myśli filozoficznej i naukowej. Toteż stosunek muzealnictwa do dzieł sztuki i zabytków przeszłości uległ w ciągu stulecia wyraźnej racjonalizacji, czego wynikiem było „naukowe" i „beznamiętne" badanie faktów. Również właściwy ubiegłemu stuleciu liberalizm i związany z nim indywidualizm odbiły się na losach muzealnictwa. Dowodem tego był tolerancyjny stosunek do wszystkich przejawów twórczości zarówno własnej jak cudzej, typowy np. dla nauki polskiej, nadmiernie lojalnej wobec agresywnej kultury niemieckiej. Dalszą konsekwencją duchowego klimatu epoki była przemiana instytucji muzealnej w warsztat pracy naukowej. Muzeum staje się wówczas terenem metodycznej pracy naukowej, zmierzającej do wyczerpującego zbadania zabytku i jego klasyfikacji, słowem do przyswojenia go nauce. Ponieważ w interesie nauki leży zbadanie jak największej ilości faktów, mnoży się w szybkim tempie zasoby muzealne a wartość instytucji mierzy się ilością eksponatów, co prowadzi do ich stłoczenia, nieraz do chaosu, powodując w końcowym rozrachunku zmęczenie i otępienie widza, który na terenie instytucji muzealnej czuje się obco i nieswojo, w końcu zaś zaczyna jej unikać. W tym stadium ewolucji muzea zajmują się głównie systematycznym porządkowaniem zbiorów, ich konserwacją i mnożeniem, co odnosi się przede wszystkim do muzeów historyczno-artystycznych. Albowiem opisywany okres muzealnictwa można nazwać okresem supremacji historii sztuki w następstwie tendencyj, rozbudzonych jeszcze w epoce romantyzmu, ściślej: romantycznego historyzmu.

Ostra opozycja wobec opisanego stanu rzeczy przypada na drugą połowę XIX w., zwłaszcza zaś na początek XX w., zapewne pod wpływem przybierających na sile ruchów klasowych, zmierzających do przebudowy ustroju polityczno-społecznego i szerszego użytkowania kultury przez masy. Walka o nowe cele muzealnictwa przybierała różnorodne formy, poczynając od fantastycznych eksperymentów Ruskina i Wiliama Morrisa, kończąc, poprzez próby Lichtwarka, na wypracowaniu praktycznych systemów skutecznego użytkowania placówek muzealnych. Uspołecznienia muzeów dokonano przede wszystkim na gruncie amerykańskim, w Rosji Radzieckiej i w Belgii, gdzie największą aktywność ujawniało brukselskie Muzeum Pięćdziesięciolecia pod kierunkiem znakomitego muzeologa Jana Caparta. Capart, z zawodu egiptolog, wysuwa na czoło obowiązków instytucji muzealnej zasadę jej współżycia ze społeczeństwem, wobec czego powołuje do życia specjalną służbę oświatową „Service Educatif" jako organizację społeczną, złożoną z ponad 1000 członków. Jej przydatność uzasadnia wyrażony przez niego pogląd, że „muzeum jest cudownym instrumentem pracy i kultury, a jednym z celów Service Educatif jest pokazanie, jak trzeba się nim posługiwać". Organizacja ta rozwija swą działalność za pomocą: 1. szkolnych wycieczek oprowadzanych przez fachowców muzealnych, w ilości około stu miesięcznie, 2. tzw. opowiadań „heures du conte" w szkołach powszechnych, które są najczęściej wstępnymi wykładami, poprzedzającymi pierwszą wycieczkę do muzeum, 3. prelekcyj niedzielnych dla członków z zakresu historii sztuki, archeologii, wykopalisk, odkryć, historii kultury itd., 4. koncertów i odczytów z zakresu muzykologii, 5. popularnych wycieczek połączonych z wykładami, 6. wysyłania prelegentów na żądanie poza muzea, 7. kinematografu, 8. podróży organizowanych i prowadzonych przez fachowców, 9. kursu elementarnego historii sztuki, 10. wydawnictwa informacyjno-propagandowego pt. „Biuletyn miesięczny".

Wyliczenie tych metod działania, zbliżonych zresztą do praktyk amerykańskich i radzieckich, wydaje się celowe wobec ciążącego na naszym muzealnictwie obowiązku wprzęgnięcia się do pracy oświatowej, do szeroko pomyślanej służby społecznej. Służba ta nie przekreśli, rzecz jasna, znaczenia naukowego muzeów, które mogą, więcej, powinny w dalszym ciągu brać udział w intensywnej pracy naukowej; rozszerzy tylko zakres działania instytucyj, dotychczas wbrew pozorom nieco hermetycznych, a na pewno mało popularnych. Ustalenie programu działania muzeów polskich, zbadanie metod pracy muzeów zagranicznych pod względem ich przydatności w warunkach polskich, ewentualną korekturę tych metod albo wypracowanie nowych systemów działania, zgodnych z naszymi właściwościami psychicznymi i naszym życiem społecznym (co prawda jeszcze nie skrystalizowanym w sposób całkowity), należy uznać za główne i najbardziej aktualne zadanie polskiego muzealnictwa.

Zamiast formy „należy uznać"... może właściwiej było by użyć trybu warunkowego „należało by uznać", bo niestety przed muzealnictwem polskim stają w tej chwili mniej „zasadnicze", a za to bardziej piekące zadania. Wobec dokonanego przez Niemców zniszczenia muzeów polskich i rozproszenia ich zbiorów na cztery strony świata, nasuwa się naprzód konieczność odszukania zbiorów (akcję tę zapoczątkowała Naczelna Dyrekcja Muzeów), z kolei formalnego załatwienia sprawy odszkodowań, wreszcie uzyskania ekwiwalentów z muzeów niemieckich. Ta metoda postępowania zadecyduje w pierwszym rzędzie o wskrzeszeniu Muzeum Narodowego w Warszawie i Muzeum Śląskiego w Katowicach. Pierwsze straciło bowiem niemal całkowicie swe zbiory, drugie oprócz zbiorów utraciło także gmach, wystawiony bezpośrednio przed wojną, a rozebrany przez niemieckiego okupanta do fundamentów. Najmniej ucierpiały muzea krakowskie, chociaż i one poniosły straty poważne. Jednakże pomimo znacznych wyrw i uszczerbków w stanie posiadania swych zbiorów, Kraków jest dzisiaj jedynym miastem w Polsce, w którym można by uruchomić muzea od razu.

Można by..., ale niestety nie można i to z powodów właściwie nieprawdopodobnych, co postaram się wkrótce wyjaśnić. Naprzód spróbujemy się jednak zorientować w muzealnych zasobach Krakowa. Miasto posiada muzea następujące: 1. Muzeum Narodowe wraz z Domem Matejki, złożone z działu polskiej sztuki cechowej, galerii obrazów XVIII—XIX w., działu przemysłu artystycznego (tkaniny, porcelana, szkło, militaria), gabinetu rycin, kolekcji sztuki japońskiej i numizmatów, że poprzestanie się na ogólnikowej charakterystyce zbiorów; 2. Muzeum Etnograficzne, powstałe na zrębie prywatnych zbiorów ludoznawczych zasłużonego badacza kultury ludowej Seweryna Udzieli, pomieszczone przed wojną w jednym z budynków wawelskich oraz w pałacu Wołodkowiczów naprzeciw dworca głównego; 3. Muzeum Techniczno-Przemysłowe przy ul. Smoleńskiej, poświęcone, jak wynika z jego nazwy, różnym dziedzinom polskiego przemysłu artystycznego; 4. Muzeum Czartoryskich, jedno z najstarszych w Polsce, ponieważ jego trzonem są zbiory Domku Gotyckiego i Świątyni Sybilli, zgromadzone przez Izabellę z Flemingów Czartoryską, a rozszerzane przez spadkobierców w Paryżu i Sieniawie; 5. Muzeum Diecezjalne na Wawelu w zaczątkach; 6. Zbiory Fizjograficzne i Archeologiczne P. A. U. przy ul. Sławkowskiej. Jak z tego wynika, należał Kraków zgodnie ze swą opinią Aten Polskich, do najbardziej „muzealnych miast" Polski. Tak było przed wojną, a dzisiaj?

Obecnie żadne, dosłownie żadne muzeum krakowskie nie zostało udostępnione publiczności, z żadnego muzeum nie może korzystać badacz-specjalista, bo zbiory spoczywają w skrzyniach. Swoim słuchaczom uniwersyteckim nie mogę pokazać ani jednego obrazu, ani jednego okazu przemysłu artystycznego, karmiąc ich czystą teorią i to bezpośrednio po wojnie, która nie sprzyjała kształtowaniu się sprawności umysłowej. W związku z wykładami na temat muzealnictwa nie mogę zaprowadzić słuchaczy do autentycznego muzeum ani dyskutować zagadnień w oparciu o przedmioty konkretne i znowu muszę poprzestać na zastrzykach teorii. Uczniowie Akademii Sztuk Pięknych tracą jeszcze więcej, boć wiadomo, że najwięcej uczy się malarz przez „patrzenie". A tymczasem nie można im pokazać ani dzieł muzealnych ani bieżącej produkcji malarskiej, bo do tej chwili nie było w Krakowie ani jednej wystawy obrazów. Podobnie się dzieje na odcinku etnografii. Jedyne dzisiaj w Polsce po spłonięciu w r. 1939 muzeum warszawskiego i zniszczeniu w czasie wojny działu etnografii Muzeum Śląskiego, zbiory etnograficzne im. Seweryna Udzieli butwieją w pakach, a Zakład Etnologii U. J. nie może słuchaczom zademonstrować żadnego przedmiotu z zakresu kultury materialnej czy artystycznej polskiego ludu. Również biblioteki tych muzeów przechowuje się w skrzyniach, wobec czego studia w dziedzinie sztuki natrafiają dzisiaj na niepokonalne trudności.

Powód tego głębokiego impasu, w jakim znalazło się muzealnictwo krakowskie, leży w fakcie braku pomieszczeń. Władze niemieckie po częściowym ograbieniu Muzeum Narodowego odebrały mu jeszcze Sukiennice, kamienicę Szołayskich przy ul. Szczepańskiej, przeznaczoną na zbiory Jasieńskiego i wystawy czasowe, oraz nowy gmach przy Alejach Mickiewicza, zresztą niedokończony. Utraciły swoje pomieszczenia także Muzeum Etnograficzne, a inne budynki muzealne, jak Muzeum Czapskich, Muzeum Techniczno-Przemysłowe, Dom Matejki itd., zostały zamienione na magazyny, w których pomieszczono zbiory, usunięte z gmachów, zabranych przez okupanta. Po zwycięskiej wojnie sytuacja muzealnictwa krakowskiego prawie nie uległa zmianie. Albowiem Muzeum Narodowemu zwrócono na razie tylko Sukiennice, zamienione z kolei na magazyn zbiorów, uratowanych częściowo na obszarze województwa krakowskiego a pochodzących z dworów, często nie zabezpieczonych w sposób dostateczny. Na dobitek utraciło muzeum, przynajmniej na razie kamienicę Szołayskich, jedyny lokal, który umożliwiłby mu rozsądną dyslokację zbiorów, np. przez wyłączenie magazynów z gmachu Sukiennic, przeznaczonego do celów wystawowych. Muzeum Etnograficzne, mimo poparcia ze strony Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz wojewody krakowskiego, do tej pory nie uzyskało żadnego lokalu i w dalszym ciągu mieści się w pakach. Zmiana w jego sytuacji polega tylko na tym, że paki te usunięto z piętrowych ubikacyj gmachu P. A. U. i stłoczono w szczupłym pomieszczeniu parterowym, żeby opróżnić miejsce pod zbiory archeologiczne i fizjograficzne, które Akademia w najbliższym czasie zamierza wystawić. Natomiast Muzeum Przemysłowe nie może przywrócić wystawy, bo jest zawalone witrynami Muzeum Etnograficznego. Słowem, muzea krakowskie wprawdzie istnieją, ale potencjalnie, ponieważ ich istotną siedzibą są skrzynie, olbrzymie masy skrzyń, warstwice skrzyń, spiętrzonych na sobie, tamujących przejścia w wąskich korytarzach przypadkowych pomieszczeń i uniemożliwiających przedostanie się z jednej ubikacji do drugiej. Co gorszą, nie wiadomo, co się w tych skrzyniach dzieje, gdyż nie można do nich dotrzeć. Nie można np. wykluczyć, że bezcenne dzisiaj, bo przechowywane w pojedynczych egzemplarzach zabytki stroju ludowego, zostały po prostu zjedzone przez mole. Przecież w ciągu lat sześciu nie było możności skontrolowania tych zbiorów.

Już w trakcie pisania tego artykułu otrzymałem wiadomość, że dokonano jednak komisyjnego zbadania kilku skrzyń ze zbiorami etnografii polskiej, czego wynikiem było stwierdzenie w skrzyniach obecności moli i kornika.

Z uczuciem, łagodnie mówiąc, pewnego zakłopotania a nawet wstydu musimy przyznać, że opisane bolączki napotykają na niezrozumiałą wprost bierność tych czynników, które by mogły pomóc w ochronie i racjonalnym wyzyskaniu resztek polskiego mienia zabytkowego. Wprawdzie udało się pozyskać dla sprawy miejscowe władze administracyjne, wprawdzie w kwestii lokalów muzealnych interweniowało Ministerstwo Kultury i Sztuki, ale, jak dotychczas, bezskutecznie. Czyżby istotnie spośród tysięcy domów krakowskich nie można było ani jednego przeznaczyć np. dla zbiorów Muzeum Etnograficznego po to, żeby muzeum mogło opróżnić swe skrzynie i przystąpić do konserwacji zniszczonych już częściowo przedmiotów muzealnych? Wprawdzie i urządzenie wystawy jest rzeczą pilną, ale jeszcze pilniejsze i absolutnie konieczne wydaje się nam natychmiastowe podjęcie prac, zmierzających do zabezpieczenia zbiorów przed dalszym niszczeniem.

Mówimy przecież tak dużo o upowszechnieniu kultury, o jej użytkowaniu przez masy, a tymczasem faktyczny stan naszego muzealnictwa zdaje się dowodzić jakiegoś niepokojącego rozdźwięku między słowem a działaniem. Albowiem nie dba się należycie o wielowiekowy dorobek artystyczno-kulturalny narodu, niezależnie od tego, czy chodzi o dorobek ludności miejskiej czy włościańskiej.

Na marginesie zagadnienia muzeów krakowskich warto przynajmniej napomknąć o zbiorach polskich, wywiezionych przez niemieckiego okupanta na teren Śląska. Dzięki Naczelnej Dyrekcji Muzeów przy Ministerstwie Kultury i Sztuki rozpoczęto akcję ratowania tych kollekcyj. Przyniosła ona bardzo poważne wyniki, wyrażające się w odnalezieniu części zbiorów Muzeum Śląskiego w Katowicach, Muzeum Narodowego w Warszawie i kilku najpiękniejszych płócien Matejki. Ale akcja ta toczy się zbyt wolno i natrafia na ustawiczne trudności z powodu braku środków lokomocji. A przecież wówczas, kiedy chodzi o odzyskanie zwykle zniszczonych i niszczejących w dalszym ciągu pomników naszej tysiącletniej kultury, powinny się znaleźć wozy, potrzebne do ich przewiezienia. Chodzi tu bowiem o wartości jedyne i niepowtarzalne, jakich odrobić się nie da; chodzi tu przy tym o **resztki** naszych zasobów artystycznych, przetrzebionych w kilkudziesięciu procentach już choćby przez samo powstanie warszawskie.

Ostatnio użyte argumenty wzmacniają także naszą apologię zbiorów krakowskich, które, jak wiemy już, naogół ocalały i są na miejscu, ale wciąż „leżą odłogiem" i co gorsza, niszczeją. Dotychczasowe wysiłki Związku Historyków Sztuki i Związku Muzeów, dążące do przełamania opornej rzeczywistości muzealnej, nie przyniosły pożądanych wyników dlatego, że w gruncie rzeczy w naszej świadomości, skażonej tradycją sarmatyzmu, sprawy personalne, jednostkowe, wreszcie grupowe wciąż górują nad poczuciem interesu ogólnego. O naszym lekkomyślnym i jakby niechętnym stosunku do własnej, tyle razy zresztą dewastowanej i maltretowanej kultury, świadczy i ta okoliczność, że kiedy na posiedzeniu Wojewódzkiej Rady Narodowej poruszył jeden z jej członków kwestię Muzeum Etnograficznego, nie znalazł się poza nim ani jeden „sprawiedliwy", który by podjął na ten temat dyskusję. Sprawa przeszła po prostu bez echa. A przecież Ministerstwo Kultury i Sztuki pragnie głębszego współżycia mas ze sztuką. W związku z opracowywanym w tej chwili podręcznikiem, zainicjowanym jeszcze przed wojną przez Związek Muzeów w Polsce pt. „Muzealnictwo", poleciło Ministerstwo położyć szczególny nacisk na zagadnienie społecznej roli muzeów, na problem współdziałania muzeów z masami.

W praktyce zaś zbiory krakowskie, wciąż jeszcze zasobne i na razie **jedyne** w Polsce, spoczywają w skrzyniach — i ulegają zniszczeniu. Ich znaczenie polega zaś na tym, że są klasycznym przykładem naszego bezwładu i braku poczucia wartości.

WILHELM SZEWCZYK

Zakończenie poematu „Noc"

Znad pobojowisk naszych, noc idzie po nocy
i wicher gna tumany jeńców brzegiem jodeł.
W puszystych słowach pieśni, w kroku twardym, mocnym
mijają ich, w pochodniach, tętniące pochody.
Trzepoce czas boleśnie, wizje gną się w pół,
już i do drzwi nie puka śmieszne słowo pokój.
Ale te wiersze rosną, zwołują i dmą;
szarżami zaturkocą spod karpackich stoków.

O święte hełmy z bruków palących się miast,
w które znów krew nabierać będziem z niskich kałuż.
O święty polski kroku, co jak czołg i głaz,
przeszedłeś tyle krajów, Europę całą.
O święte szczątki armat wśród lasów i ściernisk,
krzyże dawno poległe na wietrze jesieni,
— oto z prochu wstajemy, zacięci i wierni,
oto wieją sztandary złote od płomieni!

Zachodem pójdą dzieje i pod zachód pługi,
brzegiem Odry, doliną i końskim galopem,
I choć we krwi zrudzieją błyszczące kolczugi
— na piersiach wroga staniem kopytem i stopą.
Znad pobojowisk naszych już nie wstanie płacz,
ani z łez zwyciężonych nie stoczą się kule.
Ale pieśni dymiące z pól będą się chwiać
i w złotym dymie dawne polski klękną bóle.

1940.

PIOTR BOROWY

Nawiązując do artykułu Jana Kotta „O zamówieniu społecznym" („Odrodzenie", nr 28), w którym analizuje między innymi dwa moje wiersze — chcę wyjaśnić, że nie były one drukowane tak, jak były napisane. Zarówno pisma podziemne, jak i ci, którzy wydali je obecnie w tomiku „Wiersze i pieśni Armii Ludowej" — nie wydrukowali ich w takiej formie, w jakiej miały ukazać się w zbiorku naszej poezji walczącej, — jeszcze w lecie 1944 r. Powstanie nie pozwoliło na zrealizowanie naszych zamierzeń.

Obecnie powróciwszy z obozu koncentracyjnego, mogę podać swoje wiersze tak, jak miały się kiedyś ukazać.

Na śmierć partyzantów

W tyralierę!
odbiegli od siebie szeroko,
w skoku przez sady,
przez płoty, malwy
i — salwy.

W skoku przez płonącą wieś
i niedokończoną pieśń
wpadli rojem w zboża,
które przedłużyły im las
i pożar.

Zagłuszyli granatami pieśń,
pożegnali wybuchami wieś,
biegli łanem, łanem w wiatr,
nagle jeden objął niebo
— padł.

Towarzysz ukląkł nad nim,
śmierć mu zgonił na powiekach,
odpiął granat, stężał w pomnik
— czekał.

...ziemio chełmska, bądź im lekka.

Lipiec, 1943 r.

Odwet

Wywlekli ich z cel pod mur,
Strzaskany mózgami
Głębiej, niż seriami kul.
Pamiętaj: 700-set
Kobiet, chłopców, dzieci.

Pawiak, sierpień, 1943

...Więc musieliśmy wyjść.
Boga nie było, kto miał mścić?
— Chłopców z Pragi, z Woli, którzy,
Gdy im kładli pętle na szyje,
Wołali jeszcze z szubienic:
Niech żyje!

...Była to pruska niedziela.
Grały orkiestry w Alejach,
Żandarmi powracali ze straceń,
Szły panie z pieskami
I my z granatami
— Na spacer.

W cieniu lip i automatów
Pili piwo żołnierze,
Dzwonili kuflami.
Ściskali ładne dziewczyny, —
A my coraz mocniej
— Dynamit.

Długo tłumiliśmy gniew,
Wybuchem wzbierała nienawiść,
I nagle, — zaryczały wille,
Chlusnęła w niebo czarna krew.
— Rozbiliśmy granatami
Idyllę.

Warszawa, sierpień 1943 r.

EUGENIUSZ ZIELIŃSKI

Brzezina

Tyle wiotkiego smutku zwianego srebrzyście
w pustkowie głuche...
Kto pozbierał po tobie zeszłoroczne liście,
kosteczki kruche?

Nic to, że kora biała boleśnie rozpęka
lub pieśń się żali.
Przyszli okrutni, mściwi, krew mieli na rękach
i — rozstrzelali.

Cisza się wielka stała w owo leśne rano,
jakich niewiele.
Na krzyż cię trzeba było, więc śmiało zrąbano
twą srebrnozieleń.

...Poległ, po prostu ubył, dosłużył się swego,
szkoda to wielka.
A duszę oddał czystą w postaci białego
z czapki orzełka.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

To czekać nie może

Wśród spraw domagających się szybkiego i racjonalnego rozstrzygnięcia w nowym układzie rzeczywistości polskiej, znajduje się kilka zagadnień, niesłusznie uważanych za drażliwe i do niedawna jeszcze pomijanych milczeniem. Są to zagadnienia, związane z ingerencją czynnika wyznaniowego w tych dziedzinach życia, które od tego rodzaju wpływów i zależności powinny być całkowicie wolne. Dopiero ostatnio — na zjeździe oświatowym w Łodzi, na kongresie PPS, wreszcie w szeregu publikacji prasowych — dotknięto kwestii tak żywotnych i istotnych, jak przymus religijny w szkołach, reforma prawa małżeńskiego, świeckie urzędy stanu cywilnego dla spisywania aktów metrykalnych. Ale dotknąć tych spraw, uchwalić odpowiednie rezolucje, czy wysunąć narzucające się dezyderaty — to jeszcze nie wszystko, to dopiero wstęp do akcji, która musi być przeprowadzona planowo i skutecznie przez powołane władze państwowe. I to bez odkładania tego co pilne na czas nieokreślony.

JAKA MA BYĆ SZKOŁA?

Na zjeździe oświatowym w Łodzi ze strony przedstawicieli Ministerstwa Oświaty złożono zapewnienia, że planowana reforma szkolnictwa przewiduje m. in. likwidację przymusu religijnego w szkołach. To znaczy, że oparty na systemie kar przymus praktyk religijnych zostanie zniesiony. Jeśli takie są zamierzenia Ministerstwa Oświaty powitać je należy z uznaniem, stwierdzając jednak od razu, że stanowią one dopiero pierwszy krok na drodze, która — dla dobra szkoły i młodzieży — przebyta musi być jak najrychlej do końca. A tą metą ostateczną jest w naszym pojęciu zupełna laicyzacja szkolnictwa, zupełne wyswobodzenie go spod wpływów kleru i doktryn wyznaniowych.

Nie wszczynając tu odwiecznych, a nie dających się rozwikłać sporów między wiedzą a religią i zachowując należyty respekt dla obydwu, trzeba jednak stwierdzić, z całą stanowczością, że szkoła prawdziwie demokratyczna zawiera w sobie nieodłącznie pojęcie — świeckości, że na dwutorowość nauczania i wychowywania w szkole demokratycznej miejsca być nie może. Tak samo nie może być ona terenem gorszącym „rozgrywek" pomiędzy ks. prefektem a nauczycielem fizyki, biologii czy historii, rozgrywek obciążających niebezpiecznie pełne zwątpień i niedoświadczone umysły młodzieży. Nawet Kopernik musiał czekać dość długo, zanim Kościół zechciał uznać milcząco słuszność jego odkryć astronomicznych. Cóż dopiero mówić o pomniejszych?...

Utrzymanie w szkole wykładów religii, choćby w formie nieobowiązkowej, to źródło wielu dramatów młodych serc i umysłów. Dramatów ukrytych, wewnętrznych, konfliktów ciężkich, bolesnych, zbyt dobrze znanych nam wszystkim z własnego doświadczenia, by długo nad nimi rozwodzić się było potrzeba. Pomijając sprzeczności szczególnie jaskrawe i drastyczne wyobraźmy sobie tylko choćby stan umysłu młodego chłopca, któremu po wykładzie historii kościoła w wersji duchownej wpadnie w ręce Ranke albo Koensoroech. Ktoś tutaj musi postradać zaufanie ofiary dwoistości źródeł naukowych, najgorzej będzie, jeśli ten brak zaufania ugodzi obydwie strony.

Jeśli niektórzy rodzice, wskutek ignorancji lub obojętności nie potrafią docenić wagi tych zagadnień, ich głębokiego, często niezatartego wpływu na rozwój i losy człowieka, to obowiązkiem władz oświatowych i rozumnych pedagogów jest przyjąć i stosować w praktyce zasadę jednolitości i jednotorowości nauczania w programach szkół wszelkiego typu. Banalnym może wydać się postulat, który tu jednak wypowiedzieć trzeba: nie wolno pozostawiać młodzieży samopas na mrocznym rozdrożu pomiędzy prawami i wynikami wiedzy ścisłej a nieodpowiedzialną mistyką dogmatów wyznaniowych. Taka samotność jest zbyt niebezpieczna i prowadzić może do następstw najgorszych. Jeśli na miejsce szkół parafialnych, kościelnych, zakonnych itp. budujemy gmach nowoczesnej szkoły demokratycznej, gmach ten musi być wykończony w całości i w szczegółach, nie może zawierać fragmentów zbyt żywo przypominających styl średniowiecza.

O KIERUNEK WYCHOWAWCZY

Szkoła nie tylko uczy, lecz i wychowuje, toteż o prymat wpływów wychowawczych w szkole ubiegają się wszyscy, komu na kształtowaniu dusz i umysłów młodego pokolenia zależy. Sięgając pamięcią do czasów przedwrześniowych, musimy stwierdzić, że kler jako czynnik wychowania, odgrywał w szkole „sanacyjnej" bardzo poważną, choć przeważnie mało zaszczytną rolę. Niestety w bardzo wielu szkołach, wykłady religii stawały się, zwłaszcza w klasach wyższych ulubioną a dogodną okazją do wszczepiania haseł nienawiści narodowościowej i... religijnej, do krzewienia wcale nie chrześcijańskich zasad szowinizmu, antysemityzmu i nietolerancji względem inaczej myślących. Widzieliśmy i widzimy po dziś dzień, jakie spustoszenia moralne były następstwem tego rodzaju oddziaływań „wychowawczych". Ze wszech stron padają dziś przypomnienia jak to wprost z uroczystych nabożeństw okolicznościowych pewien odłam młodzieży śpieszył często do... rozbijania głów Żydom lub demolowania straganów żydowskich.

Rządy „sanacyjne", w założeniu swym reakcyjne i antydemokratyczne, nie hamowały bynajmniej wychowawczej ingerencji kleru, przeciwnie — raczej ją wspomagały, czego wymownym dowodem było m. in. wprowadzenie przymusu praktyk religijnych w szkołach. Nie pozbawiona pikanterii była okoliczność, że koleje życiowe promotorów tego zarządzenia nie świadczyły bynajmniej o ich szczególnej pobożności, ani o głębszym przywiązaniu do zasad kościoła katolickiego... W rezultacie zakusy wychowawcze czynników duchownych poczęły przybierać formy karykaturalne, by nie powiedzieć nawet monstrualne. Słynny ksiądz Pirożyński zabrał się gorliwie do układania indeksów literackich, wywołując tym kompromitujące dla siebie dyskusje. Jeden z dostojników kościelnych ogłosił krucjatę przeciwko... majtkom gimnastycznym dla młodzieży szkolnej. Inny dygnitarz opatrzył swoim „imprimatur" książkę pewnego sadysty „O istocie, potrzebie i stosowaniu kary cielesnej", i pozwolił na wydrukowanie tej książki w drukarni archidiecezjalnej, co podmuchem skandalu powiało na całą Polskę... Nie będziemy mnożyć podobnych faktów z przeszłości niedalekiej, którą żywo jeszcze mamy przecież w pamięci.

A wszystko to razem wzięte prowadzić ma do wniosku, że roszczenia kleru do przewagi wychowawczej w szkołach były nieuzasadnione, zaś jego praktyka i praktyki na tym polu — nie tylko zbyteczne, ale wręcz szkodliwe. Było by karygodną nieostrożnością kultywować stare błędy i w zmienionych do gruntu warunkach życia publicznego tolerować nadal to, czego żadną miarą tolerować nie należy. Tak więc z punktu widzenia zarówno nauki, jak wychowania, szkoła całkowicie świecka jest dla Polski demokratycznej nieodpartą koniecznością.

ZLIKWIDOWAĆ „DZIEWICE KONSYSTORSKIE"!

Sprawa ujednolicenia i unowocześnienia polskiego prawa małżeńskiego należy również do zagadnień wołających o jak najszybsze rozwiązanie. Dżungla przestarzałych, różnorodnych, sprzecznych ze sobą przepisów musi być słusznie wykarczowana, porządek musi być zrobiony. Każda niemal dzielnica Polski rządzi się w tej dziedzinie odmiennymi przepisami prawnymi, będącymi pozostałością czasów zaborczych, co prowadzi do nieprawdopodobnego wprost chaosu i do znanych a równie nieprawdopodobnych nadużyć. Dość powiedzieć, że na terenie byłej Kongresówki pokutują jeszcze resztki ustawodawstwa małżeńskiego z r. 1825, którym car Mikołaj I, nie bez udziału zainteresowanych sfer duchownych, obdarzył był swych polskich „poddanych".

W ciągu lat naszej drugiej niepodległości komisja kodyfikacyjna wałkowała i przerabiała bez końca projekty reformy prawa małżeńskiego. Niestety, wobec braku zgodności poglądów w łonie samej komisji oraz wskutek systematycznego sabotowania jej prac przez czynniki reakcyjne, prace te nie dobiegły do końca — i — wszystko pozostało po staremu, nie wyłączając instytucji „dziewic konsystorskich", należycie osławionej i ośmieszonej w opinii całego społeczeństwa.

Tym niezdrowym stosunkom, temu bezsensownemu komplikowaniu spraw najprostszych musi być dzisiaj położony kres. Prawo małżeńskie, podobnie jak inne dziedziny prawa cywilnego, winno się stać wyłączną domeną powołanych organów państwowych, orzecznictwo w sprawach rozwodowych — jeden z głównych punktów zagadnienia — musi należeć do sądów świeckich, które respektować będą przyrodzone prawo każdego człowieka do szczęścia osobistego już na tym świecie. Ta reforma należy do rzędu najpilniejszych, a sądząc z oświadczenia premiera Osóbki-Morawskiego w Krajowej Radzie Narodowej — rząd zdaje sobie sprawę z konieczności odpowiednich zmian i do ich realizacji przystąpić bez zwłoki zamierza.

W PARAFII CZY W URZĘDZIE?

Z reformą prawa małżeńskiego wiąże się dość ściśle kwestia modyfikacji w trybie i sposobie spisywania aktów metrykalnych. W tej materii istniała dotychczas w Polsce wielka niejednolitość ustawodawstwa. W zależności od dawnych przepisów zaborczych zasada spisywania tych aktów w świeckich urzędach stanu cywilnego była obowiązkowa, fakultatywna albo — nie istniała wcale. Znowu więc gmatwanina, komplikacje, nieporozumienia, sięgające tak daleko, że np. akt ślubny, spisany formalnie przed urzędnikiem stanu cywilnego w b. zaborze pruskim, był świstkiem bez znaczenia prawnego dla władz duchownych w b. Kongresówce. Cóż za idealne pole do zawiłych sporów i procesów w sądach świeckich i duchownych, ile żeru dla familijnego pieniactwa i wszelakich kontrowersji!

Zwyczaj spisywania aktów stanu cywilnego przez osoby duchowne datuje się z tych odległych czasów, gdy proboszcz parafii był w danym osiedlu jedynym umiejącym pisać człowiekiem. Ponieważ te czasy należą szczęśliwie do niepowrotnej przeszłości, cóż mogło by dziś przemawiać za tym, by ewidencję ruchu ludności, rejestrację urodzeń, małżeństw i zgonów prowadzić miały akurat kancelarie parafialne?... Z jakiego powodu, w państwie gwarantującym obywatelom swobodę sumienia, obywatel niewierzący miałby być zmuszony do niemiłych mu kontaktów i czynności, połączonych niekiedy z wymaganiami dopełnienia tych czy innych praktyk i obrzędów religijnych?... Pominę tu stronę materialną, mówiąc ściśle: finansową traktowanej sprawy; ta strona, znana powszechnie, nie wygląda bynajmniej budująco, a w danym układzie stosunków nie może być inaczej.

Wniosek nieodparty: konieczne jest natychmiastowe wprowadzenie na całym obszarze Państwa Polskiego świeckich urzędów stanu cywilnego oraz prawem obwarowanego, powszechnego obowiązku spisywania aktów metrykalnych w tych właśnie urzędach. Wszystkie względy rzeczowe i moralne przemawiają za tą reformą i wierzymy, że w najbliższej przyszłości stanie się ona faktem dokonanym.

UPRZEDZAM ATAKI

Jeśli mi ktoś powie, szczerze czy po faryzejsku, że postawione wyżej postulaty są „obrazą uczuć religijnych", „bolszewizmem", „bezbożnictwem" czy inną „masonerią", odpowiem mu krótko, że plecie głupstwa, że na ogół te postulaty urzeczywistnione zostały już dawno w ustawodawstwie narodów cywilizowanych, a niektóre uwzględniono nawet w kodeksach i przepisach „bogobojnych" monarchii pruskiej i austriackiej. Nie możemy ignorować tego, co dla innych stało się przed laty dobrem publicznym, musimy się natomiast starać o generalne oczyszczenie atmosfery w Polsce z przeżytków i naleciałości obcych duchowi czasu.

Wśród ludzi rozumnych nie ma u nas chyba nikogo, komu by przyszło do głowy stosować przymus względem wierzących przez zakazy wyznawania tej czy innej wiary, wzbranianie praktyk religijnych itp. Ale tolerancja — jeśli ma być zdrowa i celowa — opierać się musi na zasadzie bezwzględnej wzajemności. To znaczy — że na odwrót — ludzie areligijni i niewierzący nie mogą być w ten czy inny sposób zmuszani do czynienia tego, co sprzeczne jest z ich poglądami i z ich sumieniem. Człowieka, który formalnie czy faktycznie nie należy do żadnej grupy wyznaniowej, nie wolno ciągnąć gwałtem do ołtarza kościelnego, by tam dopiero mógł zawrzeć związek małżeński. Dziecko bezwyznaniowca nie może być, pod groźbą wstrzymania promocji, przymuszane do spowiedzi wielkanocnej. I na odwrót: człowiek wierzący ma wszelkie prawo do obrzędowego ślubu kościelnego i wychowywania swych dzieci w duchu wyznawanych zasad religijnych.

Jest to tak jasne i oczywiste, że dowodzenia nie wymaga. Wzajemna tolerancja, wzajemne poszanowanie nie kłócących się z interesami ogółu wierzeń i przekonań, to właśnie stanowi cechę i cnotę prawdziwej demokracji. Dla ugruntowania tej cnoty warto kruszyć kopie.

W poprzednim (36) numerze „Odrodzenia" z dnia 5 sierpnia: **Tadeusz Boy-Żeleński:** Jules Vallès i jego trylogia. — **Józef Andrzej Frasik:** Kwilenie czajek. Czas przedżniwny. — **Zygmunt Fijas:** Kronika miasta Rogożyna. — **Stanisław Helsztyński:** Wieści z Pomorza Zachodniego. — **Artur Sandauer:** Uwagi o metodzie krytycznej. — **Zofia Lissa:** Muzyka radziecka w latach wojny. — **Zofia Nałkowska:** Węzły życia. — **Stefan Żółkiewski:** Głos w dyskusji i dzwon na alarm. — **Jan Alfred Szczepański:** Rok 1945. Drogą Chełm-Warszawa. — W oczach pisarzy. Ankieta „Odrodzenia". Odpowiedzi **Tadeusza Peipera** i **Kazimierza Wyki.** — **Jan Kott:** Po prostu. Rozmowa. — **Mieczysław Jastrun:** Ślaz się odezwał. — **Juliusz Kydryński:** W teatrach krakowskich. — Kronika ilustrowana. — **(kb):** Przegląd prasy. — **Józef Sieradzki:** Kronika kulturalna ZSRR. — **Ryszard Matuszewski:** Chłop w dziejach i literaturze. — Kalendarz kulturalny. — 4 ilustracje. — 8 stron.

JULIAN PRZYBOŚ

MIEJSCE NA ZIEMI

STR. 164 CENA ZŁ 9,-

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA »CZYTELNIK«

ZOFIA NAŁKOWSKA

WĘZŁY ŻYCIA *)

Uspokoił się, gdy znalazł ojca zupełnie normalnego i dziewczynę, nakrywającą w jadalni do kolacji. I zaraz pomyślał o sobie, że jest przesądny, że nie tylko głupia miłość do matki, ale i czułość wobec ojca, który nigdy nie psuł go zbytkiem troskliwości, nie przystoi jego wiekowi. „To jest we mnie po prostu infantylne", mruczał, ubierając się prędko, by Sonce nie sprzykrzyło się czekać.

Nie zastał jej już na dole. Dogonił ją dopiero w stronie przeciwnej, niż mógł przypuszczać, dalszej od śródmieścia, w głębi zagrodzonej parkiem pałacowym ulicy. Nie było tu sklepów, a kamienice stały odsunięte od chodników, ciche i nieoświetlone. O tej porze nie było tu też nikogo z przechodniów. Księżyc czepiał się po niebie gałęzi drzew, które stały za żelaznymi ogrodzeniami, jak w klatkach. Tu zatrzymała się Sonka, usłyszawszy kroki Edmunda, skrzypiące po śniegu.

— Powiedziałeś o nim, że może już nie żyje, — odezwała się, gdy stanął przy niej.

— Przecież nic nie wiadomo, — ustąpił zaraz Edmund. — Jutro się dowiesz.

Sonka szła dalej w głąb zagrodzonej ulicy.

— Gdyby nawet przypuścić, że on jest winien, — ciągnęła, — to ta wina jest od jego strony zasługą, nawet jest bohaterstwem.

Zawahała się i popatrzyła na Edmunda.

— Gdyby był winien, — powtórzyła. — To jest wiadoma, banalna rzecz. Ale to mi się po prostu nie mieści w głowie. Gdyby naprawdę przechodził przez granicę i gdyby chował u siebie broń, no to robiłby tylko to samo, co robili ci, którzy go teraz trzymają w zamknięciu.

Edmund nie starał się zrozumieć, o co jej chodzi. Jej zależało jednak bardzo, by zrozumiał.

— Po wojnie przecież wstrząsnął się świat, zadygotały wszystkie granice, tej wojnie zawdzięczamy, że jesteśmy. To niby miała być ta myśl genialna, o której mówił mój ojciec i twój zresztą także. I zmieniło się to tylko, że teraz ktoś inny deleguje spośród siebie ten ludzki materiał do sprawowania bohaterstwa. Bo to przecież znajduje się zawsze, to zawsze jest. I znajdzie się zawsze to także, co ich schwyta i uwięzi. Układ pozostaje ten sam, trwają te same relacje, na tych samych miejscach, w tych samych nieledwie gmachach i salach powtarzają się słowa te same. Tyle, że w innym języku, i że inni aktorzy recytują te same teksty. Ale nawet język jest podobny, nie tylko treść, nawet język jest zrozumiały...

— Tak, ale to są wrogowie, oni nas nienawidzą, sama wiesz...

Przystanęli na chwilę u wysokiej kraty żelaznej i przez nagie drzewa popatrzyli w puste, śpiące okna nieznanego gmachu. Było cicho i pięknie, byli sami. Mogli myśleć, że cała ta biało czarna dekoracja z uwikłanym w gałęziach księżycem im wyłącznie została przydzielona, im ma służyć. Ale pomyślał tak tylko Edmund.

— Naturalnie, — powiedziała Sonka. — Nienawiść to jest właśnie tekst tej roli, który się powtarza. Nienawiść jest w tym konieczna tak samo, jak bohaterstwo.

— Wracamy, — rzekł Edmund.

Szli teraz w stronę, gdzie u dalekiego wylotu ciemnawej ulicy jaśniały latarnie i przemykały w poprzek czerwone, nieduże z tej odległości tramwaje.

— Widzisz, — myślała sobie na głos Sonka. — Czegóż to ja nie mogę znieść. Że bohaterstwo przeniosło się teraz gdzie indziej, że jest po stronie przeciwnej. Materiał bohaterstwa jest jak najlepszy, ale widocznie wciąż jeszcze zły jest jego temat. Ponieważ tak łatwo daje się odwrócić, ponieważ jest niejako przechodni. Krzywdzeni i krzywdzący zmieniają się na role...

Teraz przeszła do spraw bardziej osobistych.

— Ty wiesz, że wolałabym być z matką, że już teraz często myślę, żeby wrócić do domu. Ale ojciec...

Chwilę zastanawiała się, jak to powiedzieć.

— Okropna rzecz jest patrzyć, czym on żyje. To są wciąż same wierzenia pocieszające. On się za pomocą różnych powiedzeń gotowych utwierdza w swojej pewności, w swym przeświadczeniu o wartości sprawy straconej. To są jeszcze wciąż przyrzeczenia i obietnice, to jest cały system obietnic, umożliwiających życie. Wiara w siebie to jest wiara w taką rzeczywistość, która nas gwarantuje i zabezpiecza, która nam wciąż jeszcze pozwala zostawać w dawnych złudzeniach, chociaż świat się już zmienił. On tego nie widzi, on jeszcze wciąż się upiera — czy to nie dziwne?

Przechodzili koło bramy domu, w którym było mieszkanie Oxeńskich. Edmund gniewał się sam na siebie za niepokój, który przejął go znów na myśl o dziwnym stanie ojca. Był ciekawy, czy wróciła Katarzyna. Czekał z najwyższą niecierpliwością, jak się to wszystko wyjaśni

Przeprosił Sonkę i prędko wbiegł na górę. Katarzyny wciąż jeszcze nie było.

— A przypomnij mi jutro z rana o tym Cyngalu, mój chłopcze, — powiedział Oxeński.

Gdy zszedł, powtórzył to z dumą Sonce. Przyjęła tę wiadomość dosyć obojętnie. Ach, nie mógł podzielić się z nią ani swoim niepokojem, ani swoją radością. Zawsze gdy był przy niej czuł się samotny i bezradny. Nie miał jej wcale dla siebie. Po prostu rozpływała mu się w rękach.

Była wciąż jeszcze w najwyższym stopniu zaprzątnięta swoją sprawą.

— Oni są młodzi, ale wiedzą dużo, wiedzą więcej, niż ktokolwiek. Możliwe, że nas nienawidzą — to cóż? Ważniejsze jest, co my czujemy względem nich, my sami. Bo my już nie potrzebujemy nienawidzieć, jesteśmy zwolnieni przez los z obowiązku nienawiści.

Zatrzymała się, obróciła poza siebie w tę ciemną stronę ulicy, skąd wracali.

— Zaczyna się przecież od tego, że są zwyczajnymi ludźmi, młodymi chłopcami i dziewczętami, jak my. Chodzą na wykłady, przyjaźnią się ze sobą, kochają, uczą się no i zarazem chcą tej jakiejś swojej ojczyzny. Wystarczy jedna chwila, by wstąpić w ten świat, z którego trudno wrócić. Bo to uchyla wszelką inną rzeczywistość. Wszystko po tym wydaje się nie dość istotne, nie dość poważne, nie dość prawdziwe. I pewno nie dość niebezpieczne.

Szła i znów się zatrzymała. Zobaczył tuż przy sobie jej bladą, suchą twarzyczkę.

— Posłuchaj, — mówiła. — Byłam kiedyś na rozprawie i między świadkami był człowiek, już skazany na karę śmierci. Nie pamiętam, co mówił, wiem tylko, że zeznawał zupełnie cichym głosem. Czekał na tę swoją śmierć, by skończyła się inną sprawą, w której był potrzebny, coś takiego, nie mogłam dobrze zrozumieć. Jeżeli popełnił zbrodnię, to przecież w najlepszej wierze, że dokonał właśnie bohaterstwa. Uciekał po zamachu, został schwytany. Myślę, że u niego nie trwoga była najważniejsza, tylko raczej wielka ulga po spełnieniu ciężkiego zadania. Wszystko, co miało później nastąpić, malało wobec tamtej chwili. Był jeszcze jeden, który nie chciał zeznawać po polsku, też z więzienia wezwany na świadka. Pomyśl, w co oni wchodzą, gdy słuchają tych w sobie dziwnych ciśnień i nakazów, które z wewnątrz nich wyznaczają im ten właśnie los. Idą przecież, mogąc nie iść... Idą, jak szedł mój ojciec, który obraziłby się na to zestawienie, jak tamci wszyscy wtedy. I oni też siedzieli w więzieniach, więc powinni to zrozumieć. I oni nie chcieli zeznawać w obcym języku, i oni wołali „demonstracyjnie" niedozwolone słowa. A teraz oni sami i twój ojciec...

— Sonko, ja byłbym skłonny uważać to za zjawiska raczej normalne, — powiedział Edmund rozsądnie. — Trudno mi co prawda o tym sądzić, ponieważ sam zastałem niepodległość już gotową, zrobioną przez innych.

Umilkła zniechęcona, ale nie na długo.

— Może nie mam prawa o tym mówić. Jestem zbyt daleka, nie wiem. Mogę sobie tylko wyobrażać. Myślę, żebym się straszliwie bała. Strach jest we mnie czymś najważniejszym. Boję się jakby za nich, za każdego z nich boję się osobno. Nigdy nie mogłabym sama wejść w ten świat. Nie mogłabym nigdy być taka, jak ojciec, który robił te rzeczy i na pewno się nie bał. Ja się boję... I bohaterstwo wydaje mi się czymś ostatecznym, co dzieje się w człowieku po drugiej stronie przerażenia, co jest przebytą, zduszoną, połkniętą trwogą.

Znowu szli i teraz ona wsunęła mu rękę pod ramię. Nie było już widać drzew ani śniegu, księżyc sunął nad dachami, objęty krążkiem lśnienia, zawieszony w pustce. Nowym światem przemykały w obie strony spieszne auta, nad leniwym wozem tramwajowym eksplodował z trzaskiem bukiet iskier.

— Zawsze mi się wydaje, — powiedział znów Edmund, — że bohaterstwo to jest dzieciństwo ludzi dorosłych.

— Posłuchaj, więc owszem, formuła jest w tym zwykle mniej lub więcej naiwna, jest nieważna, za każdym razem oparta na złudzeniu, że od tego na zawsze zmieni się świat i krzywda ustanie. To się nie sprawdza dlatego, że cała rzecz ogranicza się tylko do pewnej ilości kilometrów kwadratowych, ma sobie ściśle wyznaczone geograficznie miejsce, nie jest wszędzie. Ale gdyby raz stało się to wszędzie, nie tylko po jednej stronie danej granicy, wówczas może przestałoby być złudzeniem. Tylko widzisz, nie o to mi chodzi, gdy tak ich widzę i myślę o nich. Bo zawsze znajdzie się w jakiś sposób ten ludzki materiał do sprawowania bohaterstwa, które wciąż czymś się udaremnia, w którym tkwi jakiś błąd. Gdy śmierć jest nie tylko środkiem działania, ale jest także ostatnim argumentem — cudza i swoja młoda śmierć, wiedziana, poprzedzona czekaniem, dokładnie obmyślona w długie więzienne samotności — to szaleństwo, młody obłęd, pogoń za samym sobą prawdziwym na ostatnią, najdalszą krawędź istnienia — to w bohaterstwie jest wspólne, to nie powinno się sobie przeciwstawiać. Wtór biologiczny tej sprawy, jej melodia, jej uczuciowy sens jest jednorodny — to jest wyosobnienie, to jest wybór i wzięcie najwyższego tonu na skali możliwości człowieczych. I tego nie mogę wytrzymać, że to się jeszcze wciąż nawzajem pożera. Wciąż jeszcze leży w jakiejś głębokiej ciemności człowieka, wciąż posługuje się złymi nazwami, które pływają jak małe światełka na oceanie grozy...

Uczuł, że przycisnęła się do niego jakby w popłochu.

— Przecież były już inne nazwy, — powiedział, zniechęcony. — Takie, które przekraczają granice, które znaczą to samo po obu jej stronach.

Znowu tuż przy sobie ujrzał jej drobną twarz z wielkimi cieniami oczów pod futrzanym czubem czapki. Nachylił się ku niej i mówił z wyrzutem:

— Jesteś jakby nie było mnie przy tobie, jakbyś była sama. Przecież to jest nieludzkie.

Bardzo się zdziwiła, była oburzona.

— Gdzież tam, Dziuniu, jak nawet możesz tak mówić! Właśnie dlatego, że jestem z tobą, jestem taka... Bo tak właśnie cię kocham, bo jesteś jakby jeszcze mną...

Dziękowała mu i za dobroć jego i za jego miłość. Roztapiała się z wdzięczności. Poprzez piękny nocą Plac Trzech Krzyży, poprzez szerokie Aleje Ujazdowskie odprowadził ją na Wilczą. We wnęce bramy całowali się jeszcze przez chwilę. Jednak ostatnie jej słowa były o Cyngalu, który umierał, i który był albo niewinny, albo był bohaterem.

Edmund wracał spiesznie. Był niezadowolony z siebie, nie z niej.

W domu zastał zamęt. Dwóch doktorów wychodziło z gabinetu Oxeńskiego. Katarzyna z tragiczną twarzą gestem nakazała mu ciszę. Ojciec leżał w łóżku z mokrym kompresem na czole, z zamkniętymi oczami.

(Koniec części drugiej.)

*) Ciąg dalszy. Por. nr nr 13—29, 31—33 i nr 36 „Odrodzenia".

ROK 1945

Koniec epopei

U schyłku wojny z hitleryzmem niejeden naród i niejedno miasto akcją bezpośrednią przyspieszało dzień swego wyswobodzenia. Wystarczy przypomnieć powstanie w Pradze w ostatnich dniach istnienia Trzeciej Rzeszy, a zwłaszcza nasilenie walk maquis we Francji w okresie inwazji i powstanie Paryża na kilka godzin przed wdarciem się do miasta czołgów anglosaskich. Nie trzeba tracić słów na wyjaśnianie, że powstania warszawskiego nie da się porównać ani z wypadkami w Paryżu ani nawet z ruchem powstańczym w Jugosławii. Łatwość jednak, z jaką lud Warszawy przyjął narzucony przez Bora i jego mocodawców termin i aspekt polityczny powstania i podjął w ich duchu walkę, mogłaby zadziwiać, gdyby nie świadomość, że korzeniami swymi sięga ona bardzo głębokich złóż psychiki narodowej.

O tym, gdzie szukać takich a nie innych decyzyj Bora i tych wszystkich, którzy wzięli na siebie odpowiedzialność za powstanie i upadek Warszawy — napisano dostatecznie wiele. Że powstanie, takie jak je zorganizowano i przeprowadzono, było politycznym i militarnym absurdem — wiadomo. Ale czym wytłumaczyć długotrwałość walki i mimo najbardziej niekorzystnych warunków jej powszechność i brawurę — czym wytłumaczyć kult powstania u osób, nieraz najdalszych od ideologii Borów? Nasileniem nienawiści względem Niemców? Czcią dla bohaterstwa, które przestało być dziełem jednostek i stało się wyrazem działania zbiorowego? Inna jest nić Ariadny prowadząca przez labirynt.

Rozbiory Polski — wydarzenie w swoim rodzaju jedyne w historii Europy — jeżeli nie miały się zakończyć zanikiem narodowości polskiej, musiały w sposób wyraźny i zdecydowany wpłynąć na ideologię i kierunek życia narodowego. Powstało zasadnicze pytanie: kto zawinił? W miarę upływu lat wykrystalizowały się w formie klasycznej dwie odpowiedzi: tylko los i przemoc wroga; nieprawda, my sami, z takich i innych powodów. Tezy szkoły krakowskiej przekonały wielu. Ale jakkolwiek wypadała odpowiedź historyków na postawione pytanie, naród poszedł za odpowiedzią, wmawianą mu przez poetów: że jest Chrystusem narodów, że losem naszym poświęcenie za ludzkość w imię ideałów wolności i mgliście pojętej, mistycznej sprawiedliwości.

Słowo ciałem się stało, wzniecając powstanie jedno, drugie i trzecie. Pokolenie niemal po pokoleniu zrywaliśmy się do walki zbrojnej, z kosą przeciw armacie, z dubeltówką przeciw karabinom, z karabinem przeciw czołgom. Po klęsce, która była nieuchronna, następował rachunek sumienia: powstanie było błędem, było wysiłkiem z góry skazanym na niepowodzenie; walkę o wyzwolenie należy zorganizować inaczej, związać ją z jakąś siłą większą niż nasza samotność przeciw przemocy. Ogół słuchał tych słów, przyznawał im rozumowo rację, ale — dalej czcił swoich wielkich powstańców, wznosił im kamienne i literackie pomniki i wznosił w swoim sercu pomnik każdemu z dziadów i ojców, którzy szli do powstania i ginęli w powstaniu. Czyż i dla piszącego te słowa jedyną dumą rodzinną nie jest, że dziad mój siedział w Szpilbergu za udział w 63-cim, a ojciec w obozie w Linzu za działalność antyaustriacką w okresie pierwszej wojny światowej?

Zapatrzeni w ideały i urzekający sens powstań szamotaliśmy się rozpaczliwie, nie umiejąc dojść do ładu ani ze sobą ani z otaczającą nas rzeczywistością. Zdawało się, że wiek XX przekreślił ostatecznie przesłanki mesjanizmu, cierpiętnictwa i księżycowej historiozofii. Nastały w Europie czasy, które więzy niewoli Polski przecięły siłą obcego miecza. W których można było odzyskaną niepodległość wmurować w niepodległość Europy. Era powstań, zdawało się, dobiegła kresu.

Nic podobnego. W Polsce wyzwolonej doszli do głosu ludzie, którzy sami siebie chętnie drapowali w kostiumy „ostatnich romantyków". Kult Piłsudskiego dla romantyzmu i powstania styczniowego jest powszechnie znany. I kult ten dzieliła z nim większość.

Gdy więc na skutek naiwnej i lekkomyślnej gry politycznej znaleźliśmy się znowu w potrzasku i gdy samotność nasza — bo cóż znaczyła wątpliwa pomoc z daleka, gdy z bliskich nikt nie szedł z nami? — wywołała katastrofę militarną i czasowej okupacji nadawała pozory ponownej utraty niepodległości, cóż dziwnego, że Warszawa, serce Polski, zabiło gorączką romantycznej, straceńczej walki nie tylko w schyłkowym sierpniu ale i wcześniej, we wrześniu, kiedy to honor śmierci na straconym posterunku miał pokryć braki techniczne i organizacyjne państwa.

W takim narodzie i w takiej sytuacji jak nasza wystarczało komukolwiek dać hasło, by poszła za nim większość, bez względu na takie czy inne przekonania. Było tragizmem Warszawy i nas wszystkich, że dobrze zdawali sobie z tego sprawę ludzie tak pozbawieni skrupułów jak właściwi zwycięzcy z maja 1926 r.

Coraz większymi ofiarami opłacaliśmy nasze powstania, z coraz trudniejszych podejmowane stanowisk i coraz wyraźniej beznadziejne. Ich oblicze ideowo-społeczne — aktywność i połowiczna postępowość prawej strony barykady — nie mogło im też nadać właściwego wyrazu, mimo udziału w nich Kilińskich czy Deczyńskich. Ale czemuż w takim razie najostrzejsza krytyka powstań wyszła z łona reakcji społecznej, czemu szczególną ku powstaniu nienawiścią pałali wielcy obszarnicy ziemiańscy, a pan Giertych w czambuł zaliczał powstania do dzieł żydokomuny? Sprawa jest prosta. Połowiczność społeczna i polityczna powstań nie mogła i nie może przysłonić faktu, że w samym akcie buntu zbiorowego przeciw „władzy, danej od Boga" tkwił ładunek myślenia i działania rewolucyjnego, który kształtował psychikę ociężałego społecznie narodu w sensie pozytywnym. Kosynierzy racławiccy byli drobnym szczegółem, nieudałą raczej próbą i symbolem, a przecież stali się bardzo rzeczywistym składnikiem narodowego i społecznego uświadomienia chłopa. Szlachecki listopad byłby gotów walczyć o przywileje klasowe, a przecież „Gdy naród do boju" pozostał do dziś żywym hasłem mitu rewolucyjnego. Zmagania się białych i czerwonych w okresie styczniowym były z góry przesądzone w swoim wyniku — a jednak duch Traugutta kształtował bojowców 1905 r., a jednak w Jarosławie Dąbrowskim wyrósł Polsce jeden z jej najbardziej świadomych i najgłośniejszych działaczy rewolucyjnych XIX wieku. Ba, próby z 46 roku, złamanej przez starostów austriackich rękami Szeli, nikt dziś nie kwituje historiozofią Chorału: „Słowo o Jakubie Szeli" jest pod tym względem pierwszym ale nie ostatnim przykładem. Jedna tradycja pociągała za sobą drugą, nie tylko w złym lecz i w dobrym. Instynkt reakcji rozumiał to doskonale

A Warszawa, a powstanie sierpniowe?

Choć z odległości roku trudno mówić o dystansie i perspektywie historycznej, wydaje się, że wolno już orzec, iż powstanie 1944 r. jest ostatnim echem epoki, rozpoczętej konfederacją barską i insurekcją Kościuszki. Społeczny i polityczny mechanizm powstania warszawskiego został ostatecznie odsłonięty — z tą chwilą rolę swą wygrał do końca. Znamienna pod tym względem była reakcja, z jaką spotkał się „odgrzewany mesjanizm" popowstaniowy („Mąż doskonały" Zawieyskiego). Tym bardziej znamienny jest fakt, że choć powstanie sierpniowe wywołali bezpośrednio spadkobiercy Kordianów i reprezentanci ich realnych interesów — nie udało im się przeszkodzić wyzwoleniu chamów, na których bardziej zresztą niż na Kordianów (jak to zwykle bywa) spadł ciężar właściwy powstania. Wbrew woli swoich przywódców, którzy w powstaniu dostrzegli ostatnią swą stawkę przeciw politycznemu i społecznemu bankructwu — i bohaterstwo Warszawy przyczyniło się do zwycięstwa dzisiejszej Polski. Wbrew woli swoich inspiratorów, i powstanie warszawskie wrasta mocno w nową, dzisiejszą Polskę. I dlatego w naszych dziejach będzie powstaniem — ostatnim.

Jan Alfred Szczepański

STEFAN OTWINOWSKI

Wspólny los

Urodziłem się i wychowałem w miasteczku, gdzie element żydowski prawie nie był w mniejszości. Jego żywotność, forma, atmosfera działały równolegle do obyczaju czysto polskiego. W środku osady wznosił się oczywiście kościół katolicki, w dwóch bocznych uliczkach były dwie małe, ale za to licznie uczęszczane bożnice. Przy głównej ulicy stała apteka — warsztat mojego ojca, naprzeciw zaś apteki znaczył się zakład fryzjersko-felczerski trzema złocistymi talerzami. Felczer Arbuz mieszkał właściwie w aptece, nieliczni pacjenci brali go stąd do pracy, w której, gdy zachodziły trudniejsze wypadki, pomagał mu właśnie mój ojciec. Felczer był z urodzenia rezonerem, tak jak aptekarza obarczał los koniecznością filozofowania programowego. Matka moja, która niekiedy zjawiała się w drzwiach laboratorium, porzucając dla spraw abstrakcyjnych kuchnię, lubiła mówić „słowa prawdy" Arbuzowi, Żydowi. Miała w przeciwieństwie do ojca przekonania raczej reakcyjne i uważała, że Żydowi w Polsce jest za dobrze. Tak „uważała" — czynem zaś swoim co krok wspomagać musiała żydowską nędzę miasteczka, która raniła serce uczciwych nie mniej na pewno od nędzy polskiej. Na peryferiach osady mieścił się inny punkt rękodzielniczy żydowski — warsztat krawca Papugi. Krawiec żył głównie z roboty, której dostarczała mu apteka. Ale intensywna żywotność rozwijana przez moich trzech braci — nie mogła zrekompensować ubóstwa, które było głównym przywilejem wszystkich drobnych rzemieślników i wyrobników Żydów polskich. W tym przywileju równi byli Żydzi reszcie proletariatu polskiego. Żeby więc z kolei mogli żyć czterej mali synowie krawca, musiała działać filantropia mojej matki, która lubiła mówić, że Żydom w Polsce dzieje się za dobrze.

Wyrosłem wśród tych sprzeczności, które zmuszały mnie do smutnego przecież przekonania, że właśnie i ta sprzeczność jest polska. I Polskę widziałem jeszcze długo — także w niewoli, kiedy miało się ją tylko w wyobraźni — widokiem dziwnych zestawień: pogodnego kościoła i ponurych, choć pięknie śpiewających bożnic, luksusu filozofii i szczerych chęci jednostek z nieumiejętnością działania tymi prawdami — a także i może przede wszystkim obrazem matki, która wygłaszając zdania, czynem udawadniała ich bezsens... Swoje pierwsze wzruszenia patriotyczne kształciłem nie tylko na 3-majowych przemówieniach ojca, ale i na wzruszonych oczach krawca Papugi, gdy mu ojciec w tych przemówieniach najlepszą obiecywał przyszłość. „Żydzi są dobrymi Polakami — mówił ojciec — Żydzi mogą być najlepszymi Polakami, nawet ci, którzy źle mówią po polsku i nawet ci, którzy źle mówią o Polsce... Nie było jeszcze powszechnego ruchu żydowskiego, który by dał tej ziemi konieczną ilość krwi, ale nie zapominajmy, że my szlachta strzegliśmy tego prawa i obowiązku ofiary nie tylko przed Żydami".

Takie wychowanie i ojca i matki było jednak wystarczające dla wytworzenia pierwszego własnego przekonania, że jeśli przyszła Polska ma być inna, to lepszość jej nie może być okupiona programową nienawiścią i jeszcze większą krzywdą proletariatu i drobnomieszczaństwa żydowskiego. W czasie okupacji widziałem, niestety, co innego: właśnie wzrost tej nienawiści i program oparty na krzywdzie. Dlatego nie dziwię się, że z ust Polaków pochodzenia żydowskiego płyną raz po raz obok najbliższych wspomnień słowa goryczy, którym nie chcielibyśmy przyznać racji. Smutną, niestety, prawdę nieludzkiego zachowania się w stosunku do Żydów części polskiego społeczeństwa powinno się przypominać i zakwalifikować. Ciemnoty swojej, czy swej niepewności nie posuwajmy tak daleko, żeby nie dać Żydom i tej satysfakcji, by nie przyznać im zasadniczo racji, — racji, która kompromituje tylko infamisów i zdrajców tolerancyjnej, demokratycznej myśli polskiej. Niech się nie zdaje nikomu z nas, że los Polaka uzbrojonego w odpowiedni dokument był równy losowi Żyda. Nie traćmy właściwej miary. Mam nie tylko obowiązek, ale i wyjątkowe prawo coś na ten temat powiedzieć — już nie tylko z rezerw dobrze wychowanego sentymentu. Znam grozę warszawskiej ulicy w czasie okupacji. Znam podwójną grozę tych ulic, bo mierzyłem ją krokiem zwykłego Polaka, którym jestem, ale i krokiem Żyda, którego we mnie widzieli gorliwi patrioci „polscy", patrząc na mój profil i czarne włosy. Znam te spojrzenia — niestety zbyt często — spojrzenia nie tylko zawodowych konfidentów, nie tylko amatorów szybkiego i łatwego zarobku, ale i kulturalnych na pozór ludzi. Wiem jak z uchwytu tych spojrzeń gromadzi się kapitał smutku, zawodu, żalu i psychozy wreszcie. Zrozummy Żydów. Wiem ile kosztuje i jak trudno zapomnieć przeżycie, kiedy nie Niemiec, ale na pozór przyzwoicie wyglądający cywil w zwykłym, zaledwie łobuzerskim języku zaproponuje: „Odda pan wszystko kosztowne, albo widzi pan te wache na rogu ulicy?..." Znam i strach najgorszy: osaczonego taką propozycją człowieka nie tylko bez pieniędzy, ale także bez odpowiednich dokumentów, albo z dokumentami nigdzie nie krytymi. Znam i inne rzeczy: przerwę w zdaniu antysemickim — skoro mówiący zastanawia się nad fizjonomią słuchającego. Znam więc dziwnym sposobem mękę Żyda-Polaka, dręczącego się nie tylko sprawą osobistego bezpieczeństwa, ale i kwestią stosunku bliskiego mu społeczeństwa.

Dlatego rozumiem Jastruna i Rudnickiego. Ale rozumiem także i oceniam odwagę tych Polaków, którzy dali mi prawo do innego przekonania i do innych obrazów. Nie byli to inteligenci, przechowujący Żydów-przyjaciół, albo mieszczanie, czerpiący stąd olbrzymie zyski. Byłem świadkiem zwykłych, niewykształconych dyskusji i faktów, które udowodniły mi, że antysemityzm rozwija się przede wszystkim z braku akcji przeciwstawnej, z braku dyskusji i oświetlenia. Nic więc dziwnego, że do zastraszających rozmiarów doszedł w czasie ciemnej rzeczywistości okupacyjnej. Żydzi, to także ludzie — z tych najpierwotniejszych zdań czerpali pomoc intelektualną dla swych ludzkich instynktów ludzie prości, a dobrej woli. Ludzie bez oświaty, oddani własnej najczęściej tylko samotności. Były więc i obrazy budujące, których nie wolno mi nie przypomnieć. Mieszkałem w bocznej, już właściwie zamiejskiej ulicy, która stykała się z wielkim śmietniskiem i ogródkami działkowymi, przeważnie volksdeutschów. W tym śmietnisku dzieci żydowskie, wydostawszy się dziurami z ghetta, szukały odpadków jedzenia. Dzieci polskie obrzucały małych Żydów pacynkami skrzepłego błota, kamieniami. Moja interwencja spotykała się w takich rázach z zakwestionowaniem mojej aryjskości. Dlatego czekać musiałem raz i drugi na przyjście człowieka dobrej woli i jasnych włosów. Kiedyś akcja zapobiegawcza udała mi się doskonale. Nadszedł właśnie krzepki robotnik, który nim mu wytłumaczyłem powody mojej powściągliwości, już chwycił najbliżej stojącego smarkacza i dla przykładu — w zęby. Natychmiast, jak spod ziemi zjawił się ojciec pokrzywdzonego dziecka. Od słówka do słówka i ojciec pokrzywdzonego zostaje przez robotnika, doskonałego boksera, także pokrzywdzony. Wtedy zebrał się już tłum. Przyszedł znany mi dobrze sklepikarz Wąsowski, postępowy liberał, dozorca Migdał — komunista, i dozorca Bąk — raczej konserwatysta. Jak zwykle w Polsce, musiał być najpierw konflikt, potem dopiero, chociaż chaotyczna, niemniej płodna w fakty dyskusja. W rezultacie bowiem tej dyskusji dzieci polskie, upoważnione przez rodziców poszły w ogródki volksdeutschów podebrać surową żywność dla żydowskich dzieci.

Ale były jeszcze inne dyskusje i inne fakty. Jadącego chłopa zaczepił znajomy Żyd... Podwieźcie mnie kawałek. Chłop zabrał starego, zmęczonego na wóz. Działo się to jeszcze w czasie, kiedy wolno było Żydom chodzić, ale już nie było wolno jeździć. Chłop wiedział o tym zakazie, ale wokół nie widać było nikogo, kto by zakaz ten brał poważnie... I tak pojechał ze znajomym chłopem stary, zmęczony Żyd. Ale zajechali niedaleko. Znaleźli się niespodziewanie żandarmi. I wtedy zaczęła się ta inna dyskusja: Czy nie wiesz o tym, że Żyda nie wolno na wóz zabierać... Za karę zabijesz Żyda kłonicą. Chłop bronił się po chrześcijańsku: Jak mam zabić człowieka? Katolik jestem, nie zabiję. Zabijesz. Nie zabiję... W rezultacie tej dyskusji Niemcy zabili i Żyda i Polaka.

Niedawno zjawił się u mnie starszy, wymizerowany pan — trzyletni więzień Oświęcimia. Dowiedział się gdzieś, że chętniej, aniżeli inni pisarze słucham głosów obcych ludzi, więc chciał mi pokazać kilka obrazów z czasu swej niewoli. Bardzo by mu to pomogło zapomnieć, gdybym dał mu możność wypowiedzenia pewnych spraw. I gdy mówił rzeczy na ogół znane, dobrze widać było, że musi o tym mówić i że chce, żeby to ludzie słyszeli. Potem prosił mnie, żebym przynajmniej część jego zeznań opublikował, a zależało mu szczególnie na sprawie ostatniej. Następującej. Leżał przez pół roku w szpitalu. W szpitalu oświęcimskim, który był przedsionkiem grobu. Tu leżeli już na ogół w zupełnej zgodzie Polacy z Żydami. Co tydzień przychodziła nadzwyczajna komisja „lekarska" — i wtedy niby podleczonych Polaków zabierało się do normalnej, to znaczy zwierzęcej pracy, a przewlekle chorych Żydów do komór gazowych. I jedni i drudzy szli na śmierć. Ale jeszcze chorzy Polacy mogli wierzyć w cud, który mógł się zdarzyć w ludzkim organizmie, Żydzi nie mogli wierzyć już w żaden cud. Ale szli niejednokrotnie z pogardą, godną najodważniejszych Słowian. Pewnego dnia odchodził sąsiad mego rozmówcy. Odchodząc żegnał się z Polakami, wierząc, że ci, którzy ocaleją, pracować będą wszelkimi sposobami nad zniesieniem przepaści między polskim a żydowskim społeczeństwem. Żydzi, idąc na śmierć mówili o Polsce, wierzyli w Polskę. Niech wszyscy ci, którzy uznają mistyczne prawo przekazu, pamiętają o tych głosach z zaświata... Gdy powiedział to wszystko i gdy mógł zobaczyć, że będę słowa jego pamiętał, odetchnął z ulgą. Odszedł z przekonaniem, że pamięć ta będzie miała swoje konsekwencje.

Były więc i takie fakty i takie komentarze.

Czasy normują się coraz bardziej — już coraz rzadziej spotykam stare żydowskie kobiety, powracające z niemieckich obozów śmierci. Ale ile razy spotykam je — witać je muszę wzruszeniem, i myślę wtedy o matce swojej, która, wiem, że już nie wróci. I wiem, że nie wróci brat mój adwokat, i fryzjer Arbuz i krawiec Papuga. Umarli w mękach za wspólną zbrodnię: za to, że urodzili się na ziemi polskiej, w miasteczku, gdzie wznosił się jeden kościół i dwie bożnice, gdzie stała przy głównej ulicy polska apteka i żydowska razura, a wokół był las sosnowy, w którym odpoczywali po pracy zarówno Polacy jak Żydzi.

Wszyscy jednakowo kochający swoje a przecież wspólne wyobrażenia, przywiązanie — tylko polskie.

Stefan Otwinowski

Po prostu

Ani gorący, ani zimni

Janusz Minkiewicz roztkliwia się w „Dzienniku Łódzkim" nad losem paru kabaretowych aktorów, którzy grając w czasie wojny w teatrzykach warszawskich nie mieli odpowiednich warunków dla rozwoju swych talentów. Dodaje dalej, że nikt rozsądny nie powinien mieć już dziś pretensji do aktorów, którzy podczas okupacji zgodzili się występować na scenie. Wielce sobie cenię dowcip Minkiewicza, ale w roli generalnego obrońcy uciśnionych wydaje mi się postacią raczej humorystyczną. Niech lepiej szarga świętości, zamiast myć ręce i nogi przypadkowym znajomym. Rehabilitacja aktorów należy i należeć powinna do ZASPu. Nie chcę w tej sprawie zabierać głosu. Możliwe, że jest pożądane, potrzebne, a nawet nieodzowne, aby wszyscy aktorzy mogli powrócić na scenę. Amnestia jest jednak zawsze jedynie darowaniem kary, a nie uznaniem winy za nieistniejącą. Nie wolno nam tak łatwo zapominać, że teatrzyki dozwolone i popierane przez Abteilung Propaganda przy rządzie G. G. spełniały zadanie haniebne i każdy kto do tego przyłożył rękę, popełnił — bądźmy łagodni! — duży błąd. Wystarczy przebaczyć, nie ma powodu szukać usprawiedliwienia. Tak postępując grozi nam, że wkrótce zaczniemy bronić pisarzy, którzy układali teksty dla kabaretów, dziennikarzy, piszących dla prasy okupacyjnej, granatowych policjantów i wszystkich pomniejszych łajdaków.

Fanatycy sumienia i sprawiedliwości sprowadzali często najbardziej okrutny terror. Można, na upartego uznać łagodność, dobroć, umiar i łatwość przebaczania za najrzadsze i najcenniejsze zalety przywódców politycznych. Jedno jest niewątpliwe: hasło „kochajmy się" zabójcze jest dla literatury i myśli. Jeżeli, jak pisze Kazimierz Brandys, mieliśmy Żeromskiego zamiast Stendhala, Sienkiewicza zamiast Balzaka, Marysię Połaniecką na miejsce Emmy Bovary, a dodam od siebie i Krasickiego zamiast Woltera, to nie tylko dlatego, że pisarzom naszym brakło rozumu i trzeźwości, że dawali się unieść mitom, schlebiającym pysze narodowej. Prześladowała nas zawsze najbardziej fatalna ze wszystkich dobroduszności — dobroduszność myślenia. Zabijaka szlachecki z XVII-go wieku, jakobin z „Kuźnicy" Kołłątaja, partyzant z obecnej wojny, kiedy przychodziło do myślenia, stawał się potulny jak jagnię. Jakże żałosne od strony intelektualnej są choćby nawet tradycje katolicyzmu polskiego. Któryż z naszych pisarzy katolickich przejął świadomy woluntaryzm św. Augustyna, czerpał z głębi i jasności myśli św. Tomasza, przeszedł jak Pascal przez rozpacz i zwątpienie, aby zdobyć pewność. Jedynie franciszkanizm, który dawał pokarm uczuciom i wyobraźni, pozostawił trwalszy ślad w naszej literaturze. Z drugiej znów strony najtęższi nawet z naszych radykałów woleli zawsze sentymenty od argumentów. Co więcej, ilekroć powstawały u nas ośrodki myśli niepodległej, bezwzględnej i śmiałej w poszukiwaniu ostatecznych konsekwencji własnych stanowisk, oficjalna historiografia pokrywała je zawsze najbardziej skrupulatnym milczeniem. Trzęsły się pod koniec XVII-go wieku katedry uniwersyteckie w Amsterdamie, Genewie i Lizbonie od dysput jakie wszczynali zbiegli z Polski Arianie i Bracia Polscy. Angielskie, francuskie i holenderskie podręczniki historii kultury podnoszą wielki wkład myśli polskiej w dzieło reformacji i narodzin nowoczesnego racjonalizmu. U nas pisało o tym zaledwie paru uczonych. Jeszcze bardziej bezwzględną była cenzura oficjalnej historii wobec wieku dziewiętnastego. Gromady „Grudziąż" i „Lud Polski", ośrodki rewolucyjnej emigracji polskiej we Francji i w Anglii znane są nawet zawodowym historykom jedynie z nazwy. Nie mamy monografii Jarosława Dąbrowskiego. O udziale Polaków w Komunie Paryskiej musimy dowiadywać się ze źródeł francuskich. O Waryńskim i „proletariatczykach" bano się wspomnieć choćby jednym słowem w programach szkoły średniej.

Nie łudźmy się, nic się pod tym względem nie zmieniło. Zarówno w stosunku do przeszłości, jak i wobec współczesnego ruchu umysłowego dąży się dalej do zamazywania różnic ideologicznych. Frazesem jak żelazkiem wygładza się i wyprasowuje kanty i ostrości. Każde konsekwentne stanowisko intelektualne, każdy zdecydowany i stanowczy program literacki uważa się za zamach na literaturę. W odpowiedzi na artykuł Mieczysława Jastruna „Poza rzeczywistością historyczną", Czesław Miłosz pisze, że literatura jest jak szkło, „strącona na ziemię, tłucze się równie łatwo jak lustro". Trudno z poetą walczyć na metafory, ale z równą słusznością porównać można by literaturę do żelaza, ołowiu, złota, srebra i paru jeszcze innych minerałów. Nie w tym jest rzecz. Miłosz przystaje bowiem na stwierdzenia Jastruna, uważa je za słuszne i prawdziwe; oburza go jedynie gwałtowny i namiętny ton wywodów. Miłosz uważa po prostu, że jest pewnego rodzaju nietaktem towarzyskim zbyt namiętnie mówić prawdę. Artykulik Miłosza zdaje się mówić: „pogodzimy się, tylko formułujmy łagodniej, bądźmy grzeczni". Nigdy jeszcze nie zaszkodziło literaturze, że stawiano jej te czy inne żądania. Literatura więdnie, kiedy nikt do niej nie ma pretensji.

Nie jeden Miłosz jest zwolennikiem sielanki. Stefan Kisielewski w „Tygodniku Powszechnym" od paru tygodni powtarza bez przerwy za Mickiewiczem:

„Nasz naród się prostotą, gościnnością chlubi,
Nasz naród scen okrutnych, gwałtownych nie lubi
Śpiewać, naprzykład, wiejskich chłopców zalecanki
Trzody, cienie... Słowianie, my lubim sielanki..."

Trzeci wreszcie przykład „frontu narodowej łagodności" to artykuł w „Życiu Literackim" „O postawę pisarzy", podpisany pseudonimem Roman Roński. Roński jest także rewolucjonistą. Razi go boleśnie egotyzm Gide'a i przeciwstawia mu autora „Czasów pogardy" Andrzeja Malraux. Zaraz potem jednak dodaje: „Można podziwiać wielkiego pisarza i człowieka czynu w Andrzeju Malraux, ale czy koniecznie trzeba go naśladować? Czy nie jest czasem on tym generałem, który niepotrzebnie chce walczyć w pierwszym szeregu, gdzie i bez niego jest dosyć żołnierzy? Czy nie można jeszcze znaleźć pewnej postawy pisarskiej nie tak egotycznej jak postawa Gide'a, ale nie tak krańcowej jak postawa Malraux". I dalej: „Racjonalizm Giraudoux jest mniej jaskrawy, ale i mniej hałaśliwy niż rewolucjonizm Malraux". Bądźmy rewolucyjni — woła Roński — ale na miłość boską! nie tak gwałtownie. Można być przecież — wywodzi — zwolennikiem postępu, a jednocześnie stroić się w „kostium antyczny, skrojony przez pierwszorzędny paryski dom mody".

Tak wyglądają nasze polemiki literackie. Obóz „nijaków" zwycięża. Przypomnijmy: „I wyplułem ich z uściech moich, ponieważ nie byli ani zimni, ani gorący, jeno letni." Proponuję wydanie nowego pisma literackiego „Letnia woda".

Jan Kott

Wszystkie wydawnictwa nadsyłane do redakcji będą odnotowywane w specjalnej rubryce.

Recenzje zamieszczane będą jedynie z książek nadsyłanych bezpośrednio pod adresem redakcji.

Wydawcy i autorzy proszeni są o przysyłanie nowości możliwie w dwóch egzemplarzach.

SŁOWO O GRUNWALDZIE

Długosz • Staroświecka pieśń
Jan z Wiślicy • Niemcewicz
Słowacki • Sienkiewicz

Wybrał i objaśnił ST. ŁĘMPICKI

Do nabycia we wszystkich księgarniach
Str. 104 Cena zł 30.—

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK"

Zabawa trwa

Nigdy nie byłem zwolennikiem katońskiej czystości obyczajów! Mimo to znajdywałem wiele słów podziwu dla rygoryzmu moralnego amerykańskich protestantów.

Orkiestry jazzowe w świątyniach, wokalne występy prorokiń w sukniach balowych, urocze monstr-ansamble religijne z tańcami, biblią, reklamami koncernu Standard Oil Company, week-endy przeróżnych bractw sekciarskich, chrzty w blasku jupiterów, zawsze znajdywały we mnie wielbiciela.

A jednak szklaneczka piwa wypita pod nieobecność małżonki, kiełbasa z kapustą na wolnym powietrzu, robociarskie „oko" na murawie nie były solą w mym oku. Cieszyłem się jak dziecię na widok wszelakich zdarzeń pokazujących figę oficjalnym cnotom.

Uważałem, że Katon zabijający konia, aby tylko nie obciążyć skarbu rzeczypospolitej opłatą za przewóz, i Katon, uprawiający gorszący handel niewolnikami, to nie dwie różne osoby, lecz jedna. I to tak samo godna podziwu jak dwie osoby Witolda Zechentera: jedna pisująca rzeczy niepojęte dla ludu a druga, zgięta pod brzemieniem trosk, ganiąca rzeczy niezrozumiałe dla ludu.

Był czas, kiedy Katon orzący ziemię w stroju adamowym i zakupujący na rynku rzymskim jarzyny bez pomocy swego kucharza był dla mnie symbolem republikańskich cnót, parlamentarnej demokracji i antycznej równości wobec prawa.

Dziś ta nieparlamentarna herrenmoral wydaje się mi w swej istocie tak podejrzana jak wszelki zarobkowy kabotynizm „pionierów".

Dziś z łatwością dostrzegam to, czego przed wojną nie opłacało się dostrzegać.

Dostrzegam pod maską deklamatora stare, burżuazyjne wąsy c. k. serwilisty, słyszę najwyraźniej w głosie zapienionego mowcy mokry jeszcze od goetzowskiego piwa baryton narodowego zapiewajły, rozróżniam na koturnie płaskostope łapsko niegdysiejszego matacza z „Prosto z Mostu".

Ale ponieważ nie jestem zwolennikiem katońskiej czystości obyczajów, uważam, iż nie należy groźnie mrużyć oczu tam, gdzie wystarcza tylko przyłożyć palce.

Gdyż ludzie zmieniają się powoli. Powoli obraca się kataryna historii.

Czas, ten stary kataryniarz poganiający glob ku jaśniejszej polanie słuszności, posiada dość olimpijskiej wzniosłości, aby zważać na błahe szarlatańsztwa pasażerów. Wybucha równie wesołym śmiechem, gdy z karuzeli zleci czciciel Dnia Psa, co i Dnia Człowieka. Tylko że w drugim wypadku z oka kataryniarza zazwyczaj spada łza.

Ale nie, ponieważ nie jestem zwolennikiem katońskiej czystości obyczajów, nie żywię do czasu żadnej pretensji.

Jak nie byłem nigdy zwolennikiem katońskiej czystości obyczajów, tak nie byłem zwolennikiem surowości wobec przestępców.

Uważałem, że przestępca staje się sobą zarówno na skutek warunków, w których trudno stać się od razu świętym, jak i na skutek ciążenia ku moralności, której nie wypada nazwać czcigodną.

Stąd zazdrościłem Urke Nachalnikowi jego drugiej kariery i zarazem podziwiałem tego warszawskiego doliniarza za jego negację własności. Był nawet czas, i tu niedźwiedzią przysługę oddała mi lwia część naszej krytyki, kiedy chciałem zostać Sergiuszem Piaseckim. Obiecywałem sobie wiele korzyści dla swego pióra.

Rozmyśliłem się, gdy zwyciężyła we mnie sympatia do rygoryzmu.

Lecz ponieważ nie jestem zwolennikiem katońskiej surowości obyczajów, sympatia ta ustąpiła miejsca pobłażliwości wobec rygoryzmu.

Będąc więc w Katowicach i patrząc na volksdeutscherów-zamiataczy, porządkujących ku czci Adolfa ulice nie oburzałem się, iż brak wśród nich brzuchatych ideologów Trzeciej Rzeszy, nie pytałem, gdzie i komu zamiatają Niemki z „Silberner Spiegel", nie zastanawiałem się za jaką cenę przechadzają się dotąd po ulicach miast śląskich tłuste, rude Annelizy z wystającymi zębami, pruską szczęką i rozwlekłymi, sentymentalnymi oczyma, czyniącymi wrażenie jakoby oczu kiełbia, wołu i kozy zarazem. Spokojnie patrzyłem w twarze zamiatających dozorców i robotnic fabrycznych. I nawet nie wyrzucałem im braku pieniędzy.

Nie jestem bowiem zwolennikiem zbytniej surowości wobec ludzi.

Lecz w jednym tylko wypadku, w jednym odstępuję od swej postawy.

Jestem bezwzględnym zwolennikiem surowości wobec recydywistów. I wymiaru kary czekam z równą niecierpliwością, co rywal Petaina.

Czekam dnia, kiedy wszystkich wielbicieli planu Hugenberga zwiozą do Buchenwaldu i tam pokażą im autentyczny faktomontaż złożony z nich samych, Goeringa, Ribbentropa, Hansa Franka, Kesselringa i kiedy przeciwnicy planu Hugenberga posłuchają głosu pięciu tysięcy protestanckich amerykańskich księży, którzy domagają się bisu z generała Franca.

Tutaj posiadam zbyt dużo sympatii do rygoryzmu moralnego protestantów.

Tutaj, jeśli chcecie wiedzieć, jestem najczystszej krwi purytaninem.

Takim jestem purytaninem, że w purytaństwie przechodzę sam siebie. Cromwell wobec mnie jest jeszcze za rozwiązły. Tonie w rozpuście. Nie pomogą mu najbardziej wyborowe dywizje z Armii Zbawienia.

Wiedzcie, iż z nadmiernej pychy nie dałbym mu nawet butów do czyszczenia.

No, ale na razie Amerykanie nie słuchają widocznie swych kapłanów. Franco przemyca hitlerowców do Argentyny a Amerykanie na razie pokazują Goeringom filmy z Buchenwaldu.

Zabawa trwa.

Zygmunt Fijas

„Cyd" Corneille'a w Krakowie

Kiedy zaczyna się przedstawienie „Cyda" na podworcu Biblioteki Jagiellońskiej — jest jeszcze jasno i nad głowami widzów przelatują ze skwirem jaskółki. Podwórze zastawione gęsto krzesłami tworzy piękną teatralną salę — sufitem jest niebo, zmieniające powoli barwy, od jasnego błękitu, poprzez fiolet aż do ciemnego granatu. Światło reflektorów odbija się na bluszczu oplatającym krużganki. Jest w tym piękno i słodycz Krakowa, ta atmosfera jakby włoskich miast, którą nauczyli się cenić przybysze z innych, bardziej gorzkich i trudnych okolic Polski.

Dobra to była inicjatywa Jerzego Ronarda Bujańskiego, aby wystawić „Cyda" w tej małej sali o suficie zbudowanym z lotu jaskółek. A że dobra inicjatywa rzadko się u nas realizuje, gotów jestem wybaczyć usterki przedstawienia. O nich jednak muszę napisać, bo w tej drodze ku prawdziwemu teatrowi, jaką odbywają wszyscy ludzie dobrej woli, artystyczny wysiłek zasługuje na rzeczową krytykę.

Czy „Cyd" jest utworem żywym, w tym znaczeniu, że potrafi poruszyć, że z jego postaciami potrafimy nawiązać uczuciowy kontakt, jak potrafimy nawiązać kontakt z postaciami Szekspira czy Słowackiego? Nie waham się odpowiedzieć: nie. Konwencje życia dworskiego, które stanowią treść tragedii Corneille'a już dawno wygasły. Pozostała natomiast znakomita budowa utworu i retoryka wiersza — ktoś mógłby oczekiwać, że dopowiem: pusta. Istnieje też retoryka pełna, posiadająca władzę budzenia wciąż nowych i niespodziewanych skojarzeń. Kiedy ze sceny padły słowa, oznajmiające, że okręty Maurów wpłynęły w ujście rzeki — przyszła mi na myśl nie współczesna wojna, tak inna, tak obejmująca całe nasze istnienie — przyszły mi na myśl mniejsze opowieści Józefa Conrada, wielkiego tragika namiętności i honoru, zobaczyłem malajskich wodzów szarpiących się między obowiązkiem zemsty i miłością — ich i bohaterów Corneille'a łączy to samo znamię feudalnej epoki. I dopiero od problematyki Conrada biegłem ku wielu dzisiejszym sprawom. Pozostała z „Cyda" stara ludzka sprawa walki pomiędzy namiętnością i wolą, pozostał schemat czysty jak kryształ, schemat, do którego sprowadza się większość naszych czynów. Działanie osób tragedii jest tylko ilustracją tego schematu. Przyjemność, jaką możemy czerpać z oglądania „Cyda", jest przyjemnością doskonałych matematycznych proporcji. Świat, w który wkraczamy, jest światem z kryształu: każde uderzenie wywołuje pęknięcie najściślej zgodne z kształtami drobniejszych części składowych.

Reżyseria, jak się zdaje, zmierzała właśnie w tym kierunku — nie starając się zbliżyć i uwspółcześnić postaci, próbując natomiast wydobyć symetryczność budowy. Ktoś mógłby co prawda powiedzieć, że stary przekład Morsztyna lepszej tu mógłby udzielić przysługi niż przekład Wyspiańskiego, bo Wyspiański Corneille'a modernizował i... dynamizował. Mniejsza o to. Ważniejsze pytanie: jak daleko inscenizacja ma prawo posunąć swobodę w doborze stylu: stylu ruchów, kostiumów, dekoracyj?

Ciągle pokutuje jeszcze w naszym malarstwie nowoczesność z dziesiątej ręki. Architektura dziedzińca Biblioteki Jagiellońskiej jest tak czysta, architektura tragedii jest tak czysta, że najdrobniejsza „mieszaność" inscenizacji staje się zgrzytem. Podium, na którym rozgrywała się akcja przypominało wczesny okres kubizmu. Malowidło nad tronem przywodziło na pamięć trochę Legera, trochę Stryjeńską. Kostiumy? Nie były ani kostiumami z czasów Jana Kazimierza, gdy pierwszy raz wystawiono „Cyda" w Polsce, ani kostiumami z czasów Ludwika XIII, gdy został napisany „Cyd", ani kostiumami z epoki walk hiszpańsko-maurytańskich. Jak należy się domyślać, miały to być „stylizowane" kostiumy Hiszpanii Velasqueza. W tej stylizacji zapodziała się gdzieś miękkość, kulistość sukien hiszpańskiego baroku. Aktorkom kazano nosić obręcze o kilkumetrowej średnicy, z których prostopadle opadała tkanina spódnic. Szimena była w tym stroju zupełnie podobna do Lajkonika-Tatara i jej tyrada „Umilkaj serce dziewicze" nie budziła wiary. Ruchy aktorów i aktorek rozpaczliwie borykających się ze stromymi schodami i niewygodnym ubraniem przypominały ruchy pasażerów statku w złą pogodę. Zamiast Corneille'a było w tym przedstawieniu coś z „Cyrana de Bergerac", coś z „Turandotą", coś z opery.

Nie chcę być niesprawiedliwy. Jestem zwolennikiem czystości stylu i tym tłumaczy się moja niechęć do oglądania klasycznej tragedii w młodo-polskiej przeróbce i w groteskowym ujęciu malarskim, z którego drwi zielony bluszcz na murach Biblioteki Jagiellońskiej. Czystość stylu — to takie panowanie nad materiałem, że wybiera się tylko pierwiastki niezbędne — czego nie da się powiedzieć np. o tronie królewskim, którego oparcie stanowi czerwony, ukośny szpikulec...

„Boże, jakie to dawne czasy" — chciało by się powiedzieć słowami piosenki — jakie dawne to czasy, gdy to wszystko było modne. Jest coś wzruszającego i pięknego w awangardowości Krakowa, spóźnionej najczęściej o lat dwadzieścia.

Dekorator (Kantor) raczej więc zawiódł. Reżyseria również nie zdołała wykrzesać z zespołu dostojeństwa, właściwego tak wysoko postawionym postaciom. I na pewno brakiem atmosfery tamtej epoki da się również wytłumaczyć obcość, jaka wieje z tragedii. Jeden Warnecki wielkim wysiłkiem przełamuje tę przegrodę.

Ale niebo nad starym podworcem jest tak piękne, bluszcz w świetle reflektorów tak błyszczy, że warto pójść na przedstawienie — przedstawienie na wolnym powietrzu w najbardziej włoskim z naszych miast.

Czesław Miłosz

Życie kulturalne Torunia

Po sześcioletniej niewoli nadszedł dla Pomorza nowy, upragniony rozwój życia kulturalnego i artystycznego. Społeczeństwo pomorskie, zgłodniałe słowa polskiego i wrażeń duchowych, z wielkim zainteresowaniem śledzi poczynania Wydziału Kultury i Sztuki przy Urzędzie Wojewódzkim Pomorskim, pod którego egidą odbywa się wskrzeszanie placówek kulturalnych i artystycznych na wyzwolonych terenach. Pierwsze dni pracy w Toruniu poświęcone zostały gromadzeniu zbiorów muzealnych, bibliotecznych i archiwalnych, rozwleczonych przez okupanta po różnych, często nieodpowiednich schowkach, a równocześnie rozpoczęła się odbudowa instytucyj i organizacyj kulturalnych.

ARCHIWUM MIEJSKIE

Do Torunia wróciła i objęła piastowane przed wojną stanowisko kierowniczki Archiwum Miejskiego w Toruniu Helena Piskorska, która od 1927 r. sprawowała pieczę nad archiwaliami toruńskimi.

Archiwum Miejskie w Toruniu było jednym z najcenniejszych archiwów w Polsce i jednym z najważniejszych ośrodków pracy naukowej na terenie Torunia. Jego ogromne znaczenie dla nauki polskiej, zwłaszcza historycznej, przed wojną uwydatniło się coraz bardziej w miarę udostępnienia bogatych i cennych zbiorów, czego dowodem był fakt, że z pracowni naukowej archiwum korzystali liczni uczeni z całego kraju, jak i zagranicy.

Wartości toruńskich zbiorów archiwalnych były tym większe, że poza właściwymi archiwaliami miejskimi obejmowały one archiwum ziem pruskich (akta i dokumenty Związku Pruskiego oraz protokóły generalnych sejmików pruskich).

Najstarszy dokument pochodził z roku 1251. Był to przywilej handlowy wydany przez księcia pomorskiego Mściwoja. Osobliwość zbiorów stanowiły tabliczki woskowe z późniejszego średniowiecza, zastępujące miejskie księgi rachunkowe, unikaty w Polsce, a jedne z niewielu w Europie. Bogaty był również zbiór kartograficzny (przeważnie z XVIII wieku). Co z Archiwum Miejskiego ocalało, trudno w tej chwili orzec. Jedno jest pewne, że wiele cennych archiwaliów średniowiecznych Niemcy wywieźli, i to, jak zeznają świadkowie, do Marburga. Kilka skrzyń, już przygotowanych do wywozu, pozostało jednak w Książnicy Miejskiej im. Kopernika. W całości zachowały się bogate zbiory akt nowszych, sięgających od początku XIX wieku do czasów najnowszych. Kierownictwo Archiwum stoi przed olbrzymim zadaniem reorganizacji zbiorów; owoc długoletniej i żmudnej pracy doświadczonej archiwistki miejskiej Piskorskiej, został przez okupanta zniszczony.

MUZEUM MIEJSKIE

Muzeum Miejskie przed wojną pozostające pod opieką kustosza Tadeusza Łebińskiego, mieściło się w nieodpowiednich, ciasnych salach ratuszowych. Budowano wprawdzie potężny gmach Muzeum Ziemi Pomorskiej przy ul. Bydgoskiej, lecz budowa szła dziwnie opornie, a ukończenie jej i przeniesienie zbiorów udaremnił najazd okupanta, który oczywiście muzealia toruńskie w lwiej części rozgrabił, zabierając poza tym szereg dzieł sztuki z ratusza i kościołów toruńskich. Zdołano na szczęście odzyskać około 400 obrazów, 146 stalorytów, 327 sztychów i 50 miedziorytów D. Chodowieckiego, 8 starych rysunków Torunia, 9 podobizn Kopernika i kilka sztychów, stanowiących własność Muzeum Miejskiego, część zbiorów starej ceramiki, broni, zbroi, sprzętów antycznych i kolekcje numizmatyczne. Są to niestety tylko niedobitki zabytków toruńskiego muzeum, gdyż najcenniejsze z nich zostały wywiezione przez „kulturtraegerów". Ze los taki czekał i to, co zostało jeszcze na miejscu, świadczy fakt znalezienia skrzyń, przygotowanych już do wysyłki.

KSIĄŻNICA MIEJSKA

W najlepszym stosunkowo stanie znajdowały się zbiory Książnicy Miejskiej im. Kopernika, która mimo straty około 40 skrzyń książek, podjęła swą rolę służenia zbieraczom wiadomości o Pomorzu. Biblioteka liczy 130 tys. tomów Obok czytelni i pracowni naukowej mieści się w Książnicy powołana do życia przez Wydział Oświaty i Kultury Zarządu Miejskiego Miejska Czytelnia Ludowa, która okazała się placówką bardzo potrzebną i nader pożyteczną. W pierwszym miesiącu swego istnienia dokonała ona ok. 1500 wypożyczeń czytelnikom z różnych warstw społecznych, wśród których ucząca się młodzież stanowi dość znaczny odsetek. Wpisy nowych czytelników wykazują znaczną tendencję zwyżkową.

Jeśli chodzi o ofiary książkowe ze strony społeczeństwa, to są one dosyć znaczne; w ciągu miesiąca maja pozycja darowizn rozrosła się do liczby około 1000 tomów. Książki te zostaną oddane do użytku po doprowadzeniu ich szaty zewnętrznej do porządku.

Wojewódzkie Biuro do Spraw Archiwalnych i Bibliotecznych, przeprowadzające kontrolę istniejących bibliotek i archiwów prywatnych i samorządowych, opracowało projekt zorganizowania centralnej biblioteki państwowej lub biblioteki uniwersyteckiej w Toruniu, która w przyszłości obok zadań naukowych może przejąć kompetencje Wojewódzkiego Biura w stosunku do reszty bibliotek pomorskich.

TEATR ZIEMI POMORSKIEJ

Na czele Teatru Ziemi Pomorskiej stanął długoletni jego kierownik, Władysław Bracki. W zespole ujrzała publiczność toruńska kilku dobrze znanych artystów. Należą do nich: Alfred Łodziński, Stanisław Milski, Władysław Surzyński, wreszcie Józef Wasilewski. Cennym nabytkiem dla sceny toruńskiej jest pozyskanie Konstantego Pągowskiego, członka „Reduty", artysty teatrów warszawskich, krakowskich i wileńskich. Należy też zanotować współpracę Franciszka Rychłowskiego, byłego dyrektora Teatru Polskiego w Kijowie, a następnie w Wilnie. Dalej na liście figurują: Andrzej Kuryłło, Stanisław Kubiński, Klemens Puchniewski, Igor Przegrodzki i Witold Rychter.

Role kobiece obejmują: Maria Arczyńska-Rewkowska, Halina Dunin-Rychłowska, Zofia Hajdamowicz, Irena Jasińska-Detkowska, Zofia Molska, Wanda Stanisławska i Rena Tomaszewska; z najmłodszego pokolenia aktorskiego ukazały się na naszej scenie Renata Dańska, Bronisława Freitażanka, Maria Kościałkowska, Irena Maślińska, Maria Mincerówna i Hanna Skarżanka. Kierownictwo plastyczne powierzone zostało Wiesławowi Makojnikowi, kierownictwo literackie objął Tadeusz Łopalewski, znany autor dramatyczny i beletrysta.

Dyrekcja Teatru Ziemi Pomorskiej stanęła przed poważnymi trudnościami, gdyż okupant pozostawił nam wprawdzie nietknięty gmach teatralny, lecz teatr ogołocił doszczętnie z kostiumów, rekwizytów, dekoracyj — wszelkich środków technicznych. Ba, nawet kurtynę zabrano na pamiątkę!

Te wszystkie trudności częściowo pokonano wskutek skierowania przez Ministerstwo Kultury i Sztuki do Torunia teatru dramatycznego z Wilna. Zespół wileński przywiózł ze sobą część kostiumów i dekoracji, dzięki czemu już w miesiąc po przybyciu wilnian stało się możliwe otwarcie sceny toruńskiej i teatr gra. „Damy i huzary" — Fredry, „Pigmalion" — Shaw'a, „Moralność pani Dulskiej" — Zapolskiej i „Jeńcy" — Rydla, oto poważne pozycje, którymi chlubić się może scena toruńska.

Jeżeli chodzi jeszcze o drużynę aktorską, to nadmienić również należy, że prócz zespołu dramatycznego przybył do Torunia zespół wileńskiej komedii muzycznej i wileński teatr kukiełek „Bajka" pod kierownictwem Badowskiej i Pikielanki. Teatrzyk ten, posiadający piękne tradycje, będzie nielada atrakcją dla dziatwy pomorskiej.

Teatr Żołnierski, wyłoniony z żołnierskiego zespołu aktorskiego „Awangardy", ulokował się na stałe w kinoteatrze „Wisła".

ŻYCIE MUZYCZNE

Zorganizowanie i kierownictwo Toruńskiego Konserwatorium Muzycznego powierzone zostało znanej na Pomorzu pianistce prof. Kurpisz-Stefanowej.

Zmontowanie tej uczelni napotyka na znaczne trudności z powodu braku odpowiedniego lokalu.

Z przykrością stwierdzić trzeba, że Toruń nie ma dotąd odpowiedniej sali koncertowej. Z tej racji występy wokalne solistów wileńskiej komedii muzycznej odbywają się z konieczności w kinach i cukierniach.

Posiada Toruń również i Państwową Szkołę Baletową, prowadzoną przez Zofię Pflanz-Dróbecką ze współudziałem nauczycielek, byłych artystek baletu Opery Warszawskiej: Barbary Bogdańskiej, Eugenii Kossakówny i Barbary Samełkówny. W instytucji tej szkoli się młody narybek choreograficzny. Szkoła urządziła dwa udane popisy w Toruniu i Bydgoszczy.

ORGANIZACJE KULTURALNE

Jeśli chodzi o organizacje kulturalne, mamy ich w Toruniu pokaźną ilość, a wszystkie bez wyjątku ożywione są zapałem twórczej pracy.

A więc w miejsce Konfraterni Artystów powstał Związek Artystów-Plastyków, którego prezesem został artysta-malarz Edward Duklan.

Do wspólnej pracy nad rozwinięciem życia literackiego zjednoczyły się najlepsze pióra wileńskie i miejscowe. Odbyły się dwa zebrania organizacyjne oddziału toruńskiego Związku Zawodowego Literatów. Na czele Związku Literatów w Toruniu stanął Tadeusz Łopalewski, do zarządu weszli poeta Józef Maśliński i publicysta Marian Sydow.

Z inicjatywy dyrektora Książnicy Miejskiej dr Burhardta utworzono w Toruniu Pomorskie Koło Związku Bibliotekarzy Polskich. Zebrania odbywają się co dwa tygodnie w Książnicy.

Mamy poza tym w Toruniu: Pomorski Związek Muzyków (prezes Leon Witkowski), Pomorski Związek Śpiewaczy, oddział Związku Artystów Scen Polskich. Osobne słówko należy się zasłużonemu ze wszech miar Towarzystwu Naukowemu, które powoli dźwiga się z ruin i z dniem 12 czerwca wznowiło swą działalność.

IMPREZY

Imprez kulturalnych odbyło się w oswobodzonym Toruniu kilkadziesiąt. Z nich na wyróżnienie zasługują udane koncerty śpiewaków wileńskich, odczyty prof. K. Górskiego i prof. Szumana, wystawa akwarel Duklana i przede wszystkim zainicjowane przez miejscowe sfery artystyczno-literackie „czwartki", których głównym organizatorem jest poeta Józef Maśliński.

Znalazły te „czwartki" swój przytułek w historycznym lokalu winiarni przy ul. Chełmińskiej, w winiarni, noszącej dziś nazwę „Cukierni Artystów". Program „czwartków" zredagowany został pod hasłem „możliwie wysokich wartości w możliwie niefrasobliwej formie".

Dotychczas zaprezentowali się na „czwartkach" literaci i naukowcy: prof. K. Górski, Eugeniusz Gros, Krystyna Królikowska, Tadeusz Łopalewski, Józef Maśliński, prof. J. Remer, Witold Rychter i Marian Sydow oraz śpiewacy: Buczacka, Zofia Czarkowska, Stanisława Harkawa, Helena Rogozińska, Sauk, Tadeusz Ślązak, Grzegorz Wielikaniec i inni.

PRODUKCJA WYDAWNICZA

O normalnej produkcji wydawniczej z terenu toruńskiego nie ma na razie mowy, jakkolwiek i na tym polu notuje Toruń pewne pozycje. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza w Toruniu wydała dwa podręczniki dla młodzieży szkół powszechnych: „Czytankę na klasę drugą" i „Czytankę na klasę trzecią i czwartą" oraz szereg druków drobniejszych.

W Toruniu ukazuje się pismo codzienne „Robotnik Pomorski", poświęcające wiele uwagi sprawom kulturalnym. Dziennik ten przynosi raz w tygodniu dział kultury i sztuki.

TORUŃ MIASTEM UNIWERSYTECKIM

Piękny, starożytny, cichy Toruń, pogrążony w zadumie swych świątyń gotyckich, przeglądający się czerwienią dachów i murów w srebrnym lustrze Wisły, okryty zielenią parków swych i skwerów, zagrzebany w szacownych szpargałach przeszłości i bogactwie starych książek, skrzętnie na nowo gromadzący swoje jedyne i bezcenne muzealia, Toruń mrówczej pracy kulturalnej, jak żadne inne miasto w Polsce nadaje się na siedzibę wszechnicy.

Toruń dzisiejszy szczyci się już pokaźnym dorobkiem w dziedzinie kultury i sztuki, odrabia na gwałt swe zaległości z czasów okupacji i pragnie wykazać, że jest poważnym pomorskim środowiskiem kulturalnym, które godne jest nosić miano miasta uniwersyteckiego.

Sprawa uniwersytetu im. Kopernika w Toruniu znajduje się na dobrej drodze. Już jest zorganizowany sztab profesorów, napłynęły liczne zgłoszenia studentów oraz przydzielono uniwersytetowi budynki przeznaczone na wykłady.

Mieczysław Dereżyński

Nawiasem mówiąc...

Jest w Krakowie literat, który pisze liche wiersze, pozbawione dowcipu fraszki i natrętne artykuły. Mimo to traktowaliśmy tego literata po koleżeńsku, rozmawialiśmy z nim jak z równym, dowcipkowaliśmy na jego temat i pisaliśmy o nim satyry.

Ale jak to często bywa: kto nie zaznał łaski talentu, tego nie stać na luksus pokory. Toteż ów literat (nawiasem mówiąc: nazywa się Zechenter) miast odzywać się do nas per „mistrzu" i przysyłać nam kwiaty, wkrótce się spoufalił. Zaczął nas traktować po koleżeńsku, rozmawiać z nami jak z równymi, dowcipkować na nasz temat i pisać o nas satyry.

Patrzyliśmy na to wszystko pobłażliwie. Ale ostatnio ów literat posunął się w swym spoufaleniu zbyt daleko: pisuje sprawozdania z naszych wierszy. Nie chodzi o to, czy je chwali, czy gani, to obojętne (moje poezje zresztą wychwalał, jak mógł). Chodzi o sam fakt, że ów literat w stosunku do naszych utworów ośmielił się być nie tylko czytelnikiem. Nasza dwudziestoletnia praca i nasze stanowisko w piśmiennictwie polskim upoważnia nas do jednego postulatu: by nasze książki powierzano do omówienia ludziom z talentem. To minimum wymagań kierujemy pod adresem redakcji „Dziennika Polskiego".

I jeszcze druga sprawa. Ów literat ośmielił się wypowiedzieć takie zdanie:

„Odrodzenie" z nieprzybosioidalnych wierszy zamieszcza tylko takich (!), których zamieścić **musi** z tych czy innych względów".

To nieprawda. Ja na przykład „przybosioidalnych" wierszy nie pisuję, a jednak „Odrodzenie" drukowało moje poezje bez przymusu z mojej strony, ani z niczyjej innej... Odniosłem wrażenie, że na to pismo tylko jeden wzgląd potrafi wywierać przymus, a względem tym jest talent.

Z wynurzeń naszego literata aż nadto wyraźnie przebija tęsknota do łamów „Odrodzenia". Tęsknota taka jest zrozumiała. Ale niejedna tęsknota musi poprzestać na poincie z bajki Lafontaine'a: „Nie lubię tych winogron — są kwaśne".

A. M. Swinarski

Kronika ilustrowana

STRATY LITERATURY POLSKIEJ

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI
znakomity pisarz, zamordowany przez Niemców w lipcu 1941 roku we Lwowie

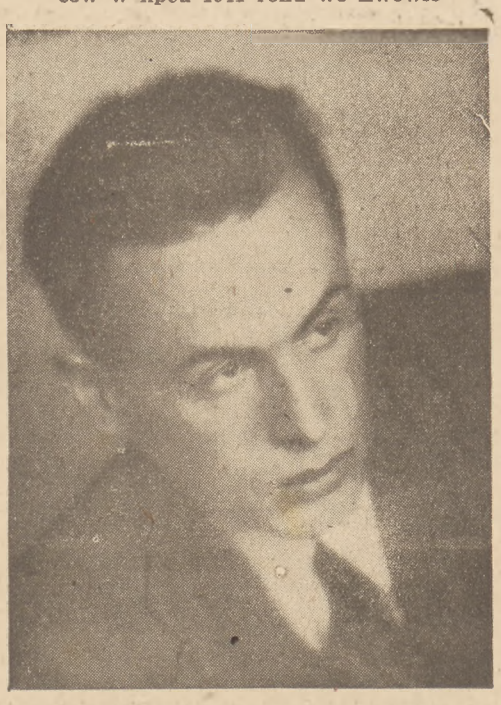

HENRYK DEMBIŃSKI
wybitny publicysta, zamordowany przez Niemców na Polesiu

TADEUSZ HOLLENDER
poeta i satyryk, rozstrzelany przez Niemców w 1943 roku w Warszawie

MARIA JASNORZEWSKA-PAWLIKOWSKA
znakomita poetka, zmarła 22 lipca 1945 roku w Glasgow w Szkocji

PRZEGLĄD PRASY

Pismo literacko-społeczne „Odra", którego pierwszy numer ukazał się w Katowicach, jest organem Ziem Zachodnich i z tej przyczyny ciąży na nim swoiste zadanie kulturalne. Dwutygodnik ten powinien zespolić na swych łamach ogół zagadnień, których szczęśliwe rozstrzygnięcie jest obecnie najgłębszą troską i nadzieją odrodzonej Polski. Nad Odrą i Nysą rodzą się potężne podstawy nowego bytu Rzeczpospolitej — osadnictwo polskie na tych ziemiach, przekazanie ich dóbr wytwórczych rękom polskiego chłopa i robotnika, kulturalne zawładnięcie tym rozległym obszarem — oto zjawiska i problemy, działające nie tylko na rozum polityczny, ale i na wyobraźnię pisarską, pobudzające rozsądek, a także wzruszenie. Znad Odry i Nysy do eposu jest tylko krok.

Otóż niejakim rozczarowaniem, które sprawia pierwszy numer katowickiej „Odry", jest brak epickiego przeżycia problematyki tych ziem, do których zza Bugu wędruje chłop z kosą, aby osiąść nad Nysą, na których rozbrzmiewa śpiewny akcent ludzi przywykłych do falistych pól Wołynia czy jezior Wileńszczyzny. Jest to chwila niepowtarzalna, okres, przez swą osobliwość godny przekazania przyszłości, choćby w postaci dokumentu, spisanego doraźnie. W „Odrze" o tym głucho. Ani jednego reportażu o losach osadnictwa polskiego nad rzeką, której nazwa widnieje w tytule. Jeśli pismo śląskie pragnie wykonać swe, już nie zamówienie, ale zadanie społeczne, nie może uchylać się od obszernej epiki, związanej z powrotem Polski na Ziemie Zachodnie.

Widomy pożytek społeczny w pierwszym numerze „Odry" przynosi artykuł wstępny **Romana Lutmana** „Nowa rzeczywistość". Zdolny publicysta celnością sformułowań i jasnością ustaleń ożywił treść pojęć kapitalnych i określił ich zakres trafną definicją. Oto pojęcie demokracji w ocenie Lutmana:

„Wchodzimy w okres demokracji społecznej, której celem jest zniesienie przywilejów posiadania, jak poprzednio zniesiono przywileje urodzenia. Demokracja społeczna uznaje tylko jeden przywilej — przywilej pracy. I na tej zasadzie kształtuje się nasza nowa rzeczywistość społeczna. Istotną zasadą nowej demokracji jest osobowość człowieka. Zadaniem jej jest rozwój tej osobowości, t. j. stworzenie warunków działania, w których osobowość przejawia się w całej pełni. Bez tego twórczego działania każdej jednostki — bez pracy — nie ma i nie może być uprawnień jednostki w społeczeństwie. Równość nie jest i nie może być jedynie formalnym równouprawnieniem obywateli przed jednolitym prawem, lecz jest równością punktu wyjścia — startu... Bo demokracja nie jest tylko określoną formą polityczną, ale również formą i kierunkiem życia".

Niemcom poświęcono w pierwszym numerze „Odry" dwie publikacje: uwagi **Kazimierza Wyki** o „Niemieckim charakterze narodowym", oraz Edmunda Osmańczyka artykuł „Bei den Preussen", w którym genezy hitleryzmu autor dopatruje się w szowinizmie pruskim.

„Szowinizm pruski topił naród niemiecki w totalnej kadzi hitleryzmu. Niemcy, ci prawdziwi Niemcy, bądź spodlili się karierą, bądź ginęli w obozach. Prusy zaborcze i grabieżcze, które nazwę swą zrabowały wymordowanemu przez siebie plemieniu, Prusy, które terytorium swe zagrabiły narodom słowiańskim, Prusy te zrabowały narodowi niemieckiemu kulturę, zmieniając jej sens ogólno-ludzki na ponadludzki, uprawniający do nowych wojen zaborczych".

Trudno uznać w całej rozciągłości twierdzenia autora. W tym ujęciu musiałby Osmańczyk tłumaczyć powstanie faszyzmu we Włoszech temperamentem Piemontczyków czy usposobieniem narodowym Lombardii. Hitleryzm jest w daleko większej mierze wytworem klasy społecznej niż właściwości plemiennej. Tak samo faszyzm. Szowinizm pruski wraz z całą mitologią germańską i teorią rasy mógł być wyzyskany przez sprawców III-ej Rzeszy jako pomocnicze narzędzie psychologiczne w gruntowaniu podstaw programowych, ale pierwotna istota hitleryzmu tkwi przede wszystkim w potrójnym układzie klasowym: Krupp — Herr Müller — Horst Wessel, a więc: wielki przemysł, średnie mieszczaństwo i mętny osad społeczny, rekrutujący się z odpadków klasowych. To złączenie trzech elementów społecznych urodziło faszyzm niemiecki zwany hitleryzmem. W szowiniźmie pruskim można najwyżej szukać przyczyny owego rozpędu, z jakim III-a Rzesza ruszyła do wojny o panowanie nad światem, rozpędu, którego nie wykazały Włochy faszystowskie. Wszelka inna interpretacja genezy faszyzmu nie wyczerpie prawdziwej istoty zjawiska.

Publicystykę krytyczną reprezentuje w pierwszym numerze pisma **Zbyszko Bednorz**, który w artykule „O literackości w literaturze" wysuwa następujące tezy:

„Literatura to jest głównie dzieło literackie. Po to, by dzieło literackie mogło być wartością interesującą społecznika, propagandystę, nauczyciela czy oświatowca, musi być wpierw jednak wartością literacką. O tej prymitywnej prawdzie zdajemy się niestety dzisiaj zapominać. Jest to zjawisko o tyle groźne, że może ewolucyjnie poprzez zaniedbywanie kryteriów literackich w ocenie literatury doprowadzić do zasadniczego obniżenia poziomu naszych prac pisarskich, oraz, co gorsze, do wykrzywień i błędnych pojęć o tym, czym w ogólności jest, względnie powinna być sztuka. A sztuka w schematycznym, uproszczonym określeniu — czymże jest, jeśli nie transpozycją zjawisk świata realnego, konkretnego w sferę rzeczywistości innej, w której już logika naszego realnego świata niczego nie wytłumaczy; bo coś może być sensowne w sztuce a bezsensowne w życiu".

Zamiast komentarza do nieprzekonywających twierdzeń śląskiego publicysty, przytoczymy głos jednego z żyjących krytyków, który podobny problem rozstrzygnął „w schematycznym, uproszczonym określeniu", odpowiadając na pytanie, czym jest dzieło sztuki: „Dzieło sztuki jest to światopogląd wyrażony przy pomocy talentu". Inny krytyk, zapytany, co to jest talent, odrzekł: „Jest to trafnie pojęta ideologia, wzruszenie naturą i dobry styl".

„Odra" rokuje najlepsze nadzieje i wszystko świadczy o tym, że po wypełnieniu braków stanie się pismem głęboko pożytecznym. Na przyszłość jednak należy zalecić bardziej dbałą korektę. Jeśli prawdą jest, że — jak wieści notatka na ostatniej stronie — „pierwszy numer był wynikiem trzechmiesięcznej pracy redakcyjnej", to trudno oprzeć się refleksji, czy istotnie trzeba było aż tak długiego okresu, aby na stronie 5-ej mogła się zrodzić piękna choć zagadkowa fraza o poniższym brzmieniu: „...tylko przeżywanie z masami może w autorze — wyjest rewolucja".

Równie dorzeczne zdania i poglądy wygłosił pewien dziennikarz krakowski, który dopuścił się obrzydliwego ataku na jednego z czołowych poetów polskich, w artykule p. t. „Mamie lepiej — jutro pogrzeb" (nr 173 „Dziennika Polskiego"). Tytuł ten, spłodzony z dowcipu niemniej starego zapewne jak sam autor dziecinnej napaści, kojarzy się w swym rytmie z przysłowiem równie starym jak bezczelność ludzka: „Pies szczeka — karawana idzie dalej".

(kb)

Laurowo i ciemno

O pięknoduchach

W nr 28 „Odrodzenia" znajdujemy dwa umieszczone obok siebie artykuliki o biegunowo różnych kryteriach. W pierwszym pt. „O zamówieniu społecznym" krytyk Jan Kott, nawiązując do zbiorku „Wierszy i pieśni Armii Ludowej", mówi o łamaniu konwencyj poetyckich przez nową konkretną treść doświadczeń wojennych i ukazuje możliwości wyjścia z ciasnych uliczek poezji posymbolicznej, która zużyła już wszystkie swoje początkowe zdobycze i której grozi śmierć od uduszenia wśród kwiatów. W drugim — „Tragiczna śmierć poety" — poświęconym zmarłemu poecie Józefowi Stachowskiemu, pióra młodego literata Ryszarda Matuszewskiego, czytamy obronę tak zwanej „czystej poezji".

Nie mamy zamiaru polemizować z autorem artykuliku, ani nie chcemy wdawać się w analizę wierszy niedawno zmarłego, utalentowanego poety. Charakterystyczna jednak jest ocena całej poezji z lat okupacji, którą lekką ręką rzuca autor: „wiersze te powstały w czasie najczarniejszej nocy okupacji, w bardzo szczególnej atmosferze, w której **na tle innych zjawisk poetyckich, albo zupełnie nieporadnych, albo zupełnie odległych od przeżywanej rzeczywistości,** — stanowiły ożywczy strumień piękna świadomego swej roli" itd. Interesujący jest również inny zwrot w cytowanym artykuliku o **„aktualnych, lecz szybko więdnących poezjach publicystycznych".**

Mniejsza o to, że autor nie dostrzegł **innej** poezji pod okupacją, ważne jest to, co w jego wypowiedzi ma charakter bardziej powszechny, co było wspólnym programem pewnych młodszych kół poetyckich Warszawy. Cytowane przez niego strofy są jaskrawym przykładem postawy antyhumanistycznej.

Przesąd o istnieniu jakiejś „poezji czystej" rozpowszechniony jest po dziś dzień wśród estetów. Nie mogą oni zrozumieć, że to, o czym piszą, nie jest poezją czystą czy brudną, jest natomiast **poetycznością.** Te wszystkie marmury, urny, kwiaty, gniazda róż itp. pięknostki, to **widowiskowość** zastępująca **widzenia,** ten brak moralnego stosunku do przedmiotu opisywanego — to wszystko jest namiastką poezji, jest posrebrzaną na próżno łaciną antyhumanistycznego okresu literatury.

Powinniśmy zrozumieć, że to, co w pewnym okresie rozwoju treści i form literackich jest zdobyczą, jest postępem, w następnym może być wstecznictwem. Po Słowackim — Norwid ze swoim „sprozaicznionym" językiem jest krokiem naprzód. Mickiewicz razi wytwornych pseudoklasyków „wulgarnością" swej mowy. Publicystyka III części „Dziadów" była na pewno mniej poetyczna od królewskości „Barbary Radziwiłłówny". Dopóki romantyzm trwał przy realizmie humanistycznym, był prądem postępowym, z chwilą, gdy pogrążył się w odmętach mistyki, zatracił kontakt z życiem, z rzeczywistością historyczną i społeczną. Równolegle z tym zjawiskiem nastąpiło także obniżenie formy poetyckiej.

„Poziom" w literaturze jest rzeczą dość względną; dekoracją, pozą niejednokrotnie długo można maskować pustkę wewnętrzną. Ucieczka w rejony oderwanego piękna niekiedy zbiega się z reakcyjnością pisarza, w naszych czasach — na pewno. Taka była poezja „ponadczasowego" maga Stefana George, który wywarł wpływ niekorzystny także na odłam naszej liryki. Przedmiotem liryki, nawet najbardziej osobniczej, nie może być mgła, udrapowana nadobnie, — musi być nim konkretne doświadczenie uczuciowe, sprawa wewnętrzna, rzecz ludzka.

Czas, aby poeci zrozumieli, że jedyne dzisiaj wyjście dla nich jest w realizmie humanistycznym, że innej drogi nie ma, że każda inna byłaby ścieżką reakcji społecznej i wstecznictwa poetyckiego.

Mieczysław Jastrun

Jeszcze jedna reforma konieczna

Żyjemy w chwili, w której dokonują się najdalej idące reformy we wszystkich dziedzinach życia. Projektowana reforma szkolnictwa jest jednym z problemów najważniejszych, najgłębiej sięgających w przyszłość tak jednostki, jak i społeczeństwa. Jasną jest też rzeczą, że reforma ta, jeśli ma w przyszłości objąć wychowanie **całego** człowieka, musi objąć wszystkie możliwe aspekty wychowania: aspekt etyczny i społeczny, intelektualny i artystyczny. Musi dążyć do rozszerzenia i pogłębienia horyzontów przyszłego człowieka i nie może pominąć żadnego środka, który prowadzi do tego celu.

Chcę powiedzieć słów parę w obronie tej dziedziny szkolnictwa, o której w dzisiejszej Polsce najmniej się mówi; o reformie szkolnictwa **muzycznego.** Ze strony Ministerstwa Kultury i Sztuki mówi się o tej reformie od pierwszej chwili. Jasną się też stało, rzeczą, że reforma ta może pójść tylko w kierunku wytyczonym przez muzyczne szkolnictwo radzieckie. Nie jest to oczywiście równoznaczne z całkowitym przeniesieniem koncepcji radzieckiej na nasz grunt Ale główne wytyczne tej koncepcji: możliwie najdalej sięgająca rozbudowa wszerz w zakresie szkolnictwa niższego i równocześnie największe pogłębienie studiów ściśle fachowych na najwyższym stopniu nauczania musi być uznane za jedynie odpowiadające dzisiejszym naszym poglądom na istotę i cele wykształcenia zawodowego. I jeżeli do tej pory nie zostały opracowane przynajmniej w najogólniejszych zarysach podstawy tak projektowanej reformy, jeżeli — co więcej — nie zapadła nawet ostateczna decyzja co do samej istoty rzeczy, to winy nie ponosi ministerstwo, ale przede wszystkim nasza społeczność muzyczna.

Ustosunkowała się ona wrogo wobec wszelkich reform dotyczących spraw zawodowych. Przekonały nas o tym chociażby doświadczenia kilku miesięcy powojennych. Mam na myśli olbrzymią większość muzyków obejmującą nieraz nazwiska wybitnych twórców i wykonawców, oraz zasłużonych pedagogów.

Pierwszym projektem, który natrafił i natrafia wciąż jeszcze na zasadniczy sprzeciw, był projekt podziału szkół muzycznych na 3 typy: niższe, średnie i wyższe. Wysuwa się tylko same, zapewne istniejące rzeczywiście w tym projekcie trudności, a zamyka się oczy na jego olbrzymie w stosunku do dawnego typu szkół strony dodatnie. I tak np. podział taki zapewnia przede wszystkim możliwość większej precyzji w samym aparacie nauczania: w szkole, obejmującej tylko częściowy, ograniczony program nauczania, możliwe jest takie zintensyfikowanie metod pracy, jakie było by trudne do osiągnięcia w szkole dawnego typu, gdzie obok ucznia wybitnie uzdolnionego, stojącego już u progu kariery wirtuozowskiej czy kompozytorskiej znajdowały się dzieci, co stawiały pierwsze kroki. Niepodobieństwem było dobrać w takim wypadku choćby pedagogów specjalistów, którzy potrafiliby w równej mierze odpowiedzieć różnorodnym zadaniom, jakie łączyła w sobie taka szkoła. Inny musi być przecież stosunek do tych, których kształci się na zawodowców, inny zaś do szerokich warstw amatorów, które mają dostarczyć przyszłych słuchaczy. A — co najważniejsze — ten nowy typ szkoły muzycznej umożliwia w nierównie większej mierze ów współczesny ideał rozbudowy tego wykształcenia wszerz, czyli — muzyczne kształcenie mas. Zwłaszcza gdyby się udało zrealizować projekt i dokonać przemiany w każdym województwie pewnej liczby szkół ogólnokształcących w szkoły muzyczne, a średnich ogólnokształcących w gimnazja i licea muzyczne (przez zorganizowanie nauki dwutorowej, łączącej przedmioty tzw. nauki szkolnej z przedmiotami udzielanymi normalnie w szkołach muzycznych) — byłby to ogromny krok naprzód. Stworzyłoby to możliwość krzewienia kultury muzycznej poprzez szkołę nie tylko w miastach, jak dotąd, ale i w mniejszych i najmniejszych ośrodkach, oraz wyławiania z mas chłopskich samorodnych, świetnych nieraz talentów.

W szkole muzycznej typu wyższego będziemy mogli zapewnić tej najzdolniejszej młodzieży taki poziom wiedzy zawodowej i tak wszechstronne wykształcenie muzyczne, jakiego wymaga zawód kompozytorów, wykonawców i pedagogów. Konieczne jest stworzenie już teraz przynajmniej jednej uczelni typu akademickiego jako placówki dla badań naukowych w zakresie metodyki nauczania, która — jak dotąd — często daleka była u nas od poziomu obowiązującego w krajach zachodnich i w Związku Radzieckim. Badania te są bodaj najbardziej palącą sprawą naszego szkolnictwa muzycznego. Wystarczy stwierdzić, że nasza literatura nie ma prawie wcale najbardziej potrzebnych podręczników z tej dziedziny współcześnie ujętych: podręcznika do nauki harmonii, kontrapunktu, nauki o formach muzycznych itp.

Rozumowanie, że „było dobrze, jak było, bo wielu było takich, którzy nauczyli się czegoś i przy dawniejszych metodach pracy", jest błędne. Nie chodzi o najzdolniejszych, ale właśnie o przeciętny ogół, o tych, którym szkoła ma pomóc, którzy przy dawniejszej organizacji szkolnictwa muzycznego albo wcale nie dochodzili do startu, albo marnowali wiele cennego czasu, by dojść do jakichkolwiek wyników. A zresztą pewnego przygotowania muzycznego potrzebuje nie tylko kandydat na zawodowca, potrzebuje go każdy człowiek, który ma zdobyć pozytywny stosunek do muzyki. I właśnie przede wszystkim w imieniu szerokich mas powinniśmy domagać się najrychlejszego urzeczywistnienia projektowanej reformy szkolnictwa muzycznego.

Stefania Łobaczewska

„Słowo o Grunwaldzie"

Słowo o Grunwaldzie. Długosz, Staroświecka pieśń. Jan z Wiślicy. Niemcewicz. Słowacki. Sienkiewicz. Wybrał i objaśnił **Stanisław Łempicki.** Kraków, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", 1945; str. 102 i 2 nl.

Okolicznościowe wydawnictwo tekstów w wyborze dokonanym przez Stanisława Łempickiego składa się z fragmentu długoszowego o bitwie grunwaldzkiej w przekładzie dawnym a wciąż pięknym Karola Mecherzyńskiego, „Staroświeckiej pieśni o pruskiej porażce, która się stała za króla Jagiełła Władysława", wyjątka z „Bellum prutenum" Jana z Wiślicy w przekładzie Jana Smereki, śpiewu Niemcewicza „Władysław Jagiełło", fragmentu z „Zawiszy Czarnego" Słowackiego i Sienkiewicza obrazu bitwy w dniu 15 lipca 1410 roku z „Krzyżaków". Wszystko poprzedzone wstępem, opatrzone objaśnieniami i przypisami, urozmaicone 8 rycinami w tekście. Mała monografia-składanka o Grunwaldzie.

Właściwie nieomal wszystko sprowadza się do Długosza, prócz Jana z Wiślicy, który nie znał Długosza, ale też, jak słusznie zaznacza Łempicki, nie znał również innych pożytecznych źródeł. Nasza literatura piękna jak i malarstwo są w przedstawieniu Grunwaldu uzależnione od znakomitego kanonika krakowskiego. Także pieśń o pruskiej porażce, której powstanie wydawca, odnalazłszy drugi po Rzyszczewskim tekst z 1616 roku w rękopisie Ostroroga, ustalić chce na rok 1510, pierwsze stulecie klęski krzyżackiej i stanowczo odsądza od autorstwa Łukasza Górnickiego. Gdyby jednak pieśń istotnie powstała z okazji setnego jubileuszu, można by oczekiwać w jej tekście jakiejś w tym kierunku bezpośredniej wskazówki. Toteż wywód Łempickiego można uznać co najwyżej za możliwy lecz nie dowiedziony.

Najjaskrawsza, a dziś najwięcej oddźwięku budząca jest zwrotka 43-a pieśni:

Bito Niemce jako cielce,
A Niemkinie jako świnie,
A Niemczęta jako psięta,
Niejednemu głowa ścięta.

Z właściwą sobie intuicją zwraca uwagę Słowacki w swym zresztą mistycznym obrazie bitwy grunwaldzkiej:

„I na smoleńskich bojarów
Futrzane pułki, twarze czerwone spod borów wyglądające"

chociaż w innym miejscu, malując pogrom Krzyżaków, rozmyślnie rozstaje się ze ścisłością historyczną:

„Odtąd śmierć i królowa ostatnich przerażeń
Panowała na polu: z krzykiem nocnych ptaków
Trupem legło pięćdziesiąt tysięcy Krzyżaków".

Bardzo trafnie podnosi Łempicki w „Krzyżakach" Sienkiewicza „z prawdziwym zdziwieniem uderzające analogie do wypadków dopiero co przeżytych, do metod i sposobów, stosowanych przez potomków i dziedziców malborskiego krzyżactwa. Czasem ma się złudzenie, że tamte piekielne komtury tylko inne przybrały nazwiska".

Dlaczego jednak ze zdziwieniem? Raczej chyba z podziwem. Sienkiewicz znał i podał prawdę o Niemcach, ale nie wszyscy umieli mu w tym nadążyć, pomimo tak wielkiej sugestywności jego geniuszu i słowa. Lektura „Krzyżaków" powinna dziś wysunąć się na czoło czytelnictwa dla dorosłych i młodych u nas i najsilniej być szerzona za granicą.

Celowy dobór tekstów, wytrawne omówienie, wnoszące miejscami nowe wartości naukowe, staranne objaśnienie z akcentem popularyzującym (przypisek o komturze tucholskim, że pochodził z Tucholi, jest zbędny) i same wydawnicze zalety książeczki, pięknej co do formy zewnętrznej i układu, z nienaganną niemal korektą — nadają „Słowu o Grunwaldzie" wartość daleko większą niż przemijającej tylko publikacji okolicznościowej.

Józef Sieradzki

Okienko dla stron

CUDA

„Znowu wyrusza w świat „Rycerz Niepokalanej" (nr 1, Niepokalanów, lipiec 1945), by... spotęgować miłość do swej Hetmanki Niepokalanej. Mamy też nadzieję, że i nadal Matka Najświętsza będzie nam pomagać przez Swych Czcicieli i skromne Jej pismo znacznie przekroczy przedwojenny nakład... wszelkie ofiary prosimy nadsyłać zwykłymi przekazami pocztowymi... radośnie podąża Mateńka tu Boża... Płaszcz złoto-błękitny, jak wstęgi dróg mlecznych rozchyla miłośnie nad Polską skrwawioną; jak Matka osłania przed ciosem swe grono... A w naszych czasach? Ona, Niepokalana, rzuca hasło: pokuty, pokuty, pokuty... Jak za czasów Jana Kazimierza tak i teraz duszę polską odrodzi Częstochowska Maryja, Królowa Polski... Kto natchnął męstwem i szlachetnością rycerstwo nasze, żołnierza polskiego? Niepokalana, Niebieska Hetmanka. A gdy dołączymy do tego ukrytego wpływu Marii na ducha polskiego opiekę Jej nad Polską przez wieki, nieraz wprost cudowną — i Grunwald i Chocim i Częstochowę i Wiedeń — wdzięcznością muszą wezbrać w nas serca do Tej Królowej Polski... Byłam w gorączce 42 i 6 kresek przez kilka dni i nic nie pomagały lekarstwa ani zastrzyki. Pewnego dnia odzyskałam przytomność i zobaczyłam przy sobie córkę zapłakaną i zmarzniętą do szpiku kości. Westchnęłam gorąco do Matki Najświętszej, prosząc o uzdrowienie jedynie z racji tej wynędzniałej córki i postanowiłam ogłosić w „Rycerzu", jeżeli zostanę wysłuchaną... Swoje uzdrowienie przypisuję jedynie Niebieskiej Lekarce". **(jas)**

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 10 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, tel. 545-60-62. — Prenumerata miesięczna 21 zł., kwartalna 63 zł. — Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".
M — 02631